

PAWEŁ HUELLE

MERCEDES–BENZ

Z LISTÓW DO HRABALA

Mily pane Bohušku, a tak *zase život udělal mimořádnou smyčkou*, Kochany panie Bohumilu, i znów życie zatoczyło niesamowitą pętlę, bo kiedy przypominam sobie ten mój pierwszy majowy wieczór, gdy przerażony i zupełnie roztrzęsiony siadłem po raz pierwszy za kierownicą małego fiata panny Ciwle, jedynej instruktorki w firmie Corrado — gwarantujemy prawo jazdy po najniższych w mieście cenach — jedynej kobiety w gronie tych pewnych siebie samców: byłych rajdowców i mistrzów kierownicy; kiedy więc zapinałem pas i ustawiałem wedle jej wskazówek lusterko wsteczne, aby za chwilę ruszyć małą, wąską uliczką na jedynece, by zaraz, po czterdziestu metrach stanąć na skrzyżowaniu, gdzie tylko wąska nitka powietrza jak niewidzialny korytarz lotniczy prowadziła pomiędzy tramwajami i rozpędzonym hukiem ciężarówek gdzieś na drugą stronę śródmiejskiego piekła, kiedy więc wyruszałem w tę pierwszą moją automobilową podróż, jak zwykle czując, że to wszystko nie ma najmniejszego sensu, bo przychodzi za późno i poniewczasie, gdy więc na samym środku tego skrzyżowania pomiędzy rozdzwonioną trzynastką, która hamowała nagle, a wielkim tirem, który jakimś cudem zdołał ominąć o włos małego fiata panny Ciwle, trąbiąc przy tym straszliwie niskim, przeraźliwie głośnym klaksonem podobnym do syreny okrętowej; słowem, gdy utknąłem na samym środku tego skrzyżowania, zaraz pomyślałem o panu i tych pańskich cudownych, lekkich, pełnych wdzięku lekcjach jazdy na motocyklu, kiedy to mając instruktora za plecami, a przed sobą torowisko i wilgotną kostkę bruku, dawał pan na tej jawie 250 ostro gazu, śmigał pan przez te praskie ulice i skrzyżowania najpierw w górę ku Hradczanom, a potem w dół, do Wełtawy, i cały czas nieprzerwanie, jakby natchniony przez jakiegoś motoryzacyjnego dajmoniona, opowiadał pan instruktorowi o tych cudownych maszynach z dawnych czasów, na których pański ojczym tyle miał wspaniałych wywrotek, stłuczek i katastrof; no więc gdy kierowca tira zatrzymał ostro tego swojego potwora ważącego kilkadziesiąt ton i zostawiwszy pojazd na środku jezdni, wyskoczył z szoferki i biegnąc do małego fiata panny Ciwle, wygrażał nam straszliwie pięścią, a właściwie, bliski z wściekłości samookaleczenia, pięścią tą okładał się po własnej głowie, kiedy więc widziałem jego twarz purpurową od furii i bólu przylepioną do szyby małego fiata panny Ciwle i zaraz obok niej drugą, też do szyby przyklejoną twarz motorniczego trzynastki, który podobnie jak kierowca tira porzucił swój pojazd i sprasowanych przy ostrym hamowaniu pasażerów, kiedy więc ujrzałem za przezornie już podkreconymi przez pannę Ciwle szybami fiata te dwie twarze, za którymi zaraz wyłaniały się następne, ponieważ kierowcy innych aut zablokowani przez stojący tramwaj i zatrzymanego tira również porzucali swoje samochody i biegli do nas, żeby na tym małym fiacie wyładować całą swoją złość za zatłoczone drogi, nieremontowane mosty, podwyżki cen benzyny i wszystko to, co dotknęło ich tak niedługo po upadku komunizmu, kiedy więc te twarze rodem z Boscha omal nie wtłoczyły pani instruktor i mnie w fotele jej małego fiata, który za nic nie chciał zapalić, powiedziałem do panny Ciwle zupełnie spokojnym głosem — a wie pani, moja babka Maria, kiedy w dwudziestym piątym roku uczyła się jazdy na citroenie, miała podobny przypadek, tyle tylko, że ten citroen stanął na przejeździe kolejowym i z prawej strony, czyli tam, gdzie siedział pan instruktor Czarzasty, nadjeżdżał już zza zakrętu pospieszny Wilno–Baranowicze–Lwów i pan Czarzasty bardzo szybko ocenił sytuację, i powiedział — panno Mario, wyskakujemy natychmiast albo giniemy — więc wyskoczyli — kontynuowałem — a ten pospieszny, chociaż hamował, sypiąc sнопami iskier spod kół, to jednak staranował to piękne auto, więc stali tak obok polnego przejazdu: moja babka Maria i pan instruktor Czarzasty, patrząc na wielkie, coraz większe oczy maszynisty, który w całej tej kupie blachy, nikłów, chromów, pluszu, dermy i stłuczonego szkła nie mógł jakoś dojrzeć zmiażdżonej głowy, obciętych nóg, czapki kierowcy czy choćby jednej plamki krwi i dopiero kiedy spojrzał nieco dalej, ujrzał, jak moja babka Maria i pan instruktor Czarzasty machają do niego przyjaźnie, i to była bardzo piękna scena — zbliżałem się do finału — bo za nimi przy tej polnej drodze stała kapliczka Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, wokół której wianuszek wiejskich kobiet i dzieci odprawiał właśnie

majowe nabożeństwo, tak zatem pierwszy plan ze zmiażdżonym Citroënem i sapiącą lokomotywą przechodził łagodnie w plan drugi, czyli chwytającego się za głowę maszynistę, za którym plan trzeci wypełniali uradowani moja babka Maria i pan instruktor Czarzasty, a wszystko to na tle dalekich, pofalowanych wzgórz z kapliczką Matki Boskiej Nieustającej Pomocy u stóp Karpat Wschodnich. — Boże, jak pięknie — panna Ciwle właśnie przesuwiała się ostrożnie ponad moimi kolanami, a ja, delikatnie, pod jej pupą, wykonywałem podobny ruch, tyle że w przeciwną stronę — Boże, jak pan opowiada — ciągnęła, sprawdzając biegi i stacyjkę — tylko dlaczego w moim równoległym układzie też nie działa, taaa, bardzo ciekawe — zapaliła wreszcie silnik i pokazując otaczającym nas kierowcom ów męski, nieprzyzwoity, haniebny znak środkowym palcem, ruszyła wreszcie wolno wśród ludzkiego szpaleru, mistrzowsko manewrując pomiędzy stłoczonymi ciałami naszych potencjalnych oprawców, którzy chcieli nas ubiczować na środku tego strasznego skrzyżowania, tej mojej pierwszej samochodowej golgoty. Kochany panie Bohumilu, no więc wtedy właśnie, gdy panna Ciwle powiedziała do mnie tym swoim niesamowitym, trochę metalicznym głosem — Boże, jak pan opowiada — ja już miałem na końcu języka — co tam ja, niech pani przeczyta lepiej Wieczorną lekcję jazdy, tam dopiero są historie, które każdy instruktor powinien sobie przypomnieć przed zaśnięciem, albo przed wyjazdem z kursantem na miasto, tam jest ten piękny motoryzacyjny liryzm, tam dopiero wyłożona jest platońska idea związku instruktora z kursantem, która nie polega przecież na zwykłym ćwiczeniu, na banalnym nadzorze, na pospolitej nauce, ale na opowiadaniu sobie pięknych historii, na owej komunii słownej, która łączy ze sobą ludzi ponad płcią, polityką i pochodzeniem — ale niestety, panie Bohumilu, nie powiedziałem tego, bo oczy wyszły mi z orbit, serce załopotowało w gardle, a język wysechł jak po trzech dniach kaszubskiego wesela, gdy tylko zobaczyłem, jak panna Ciwle nagle dodaje gazu i slalomuje pomiędzy tymi wściekłymi kierowcami, jak rozsuwa ich tłum kwadratowatym dzióbkiem fiatka, a następnie, w ostatniej dosłownie sekundzie, przeskakuje wąską gardziel pomiędzy ruszającym tramwajem a jadącym już wolno tirem; och, szkoda, że pan tego nie mógł widzieć, kochany panie Bohumilu, tego zwycięstwa młodej dziewczyny w małym fiacie nad tłumem rozwrzeszczanych kierowców i nad tymi dwoma strasznymi macho: motorniczym trzynastki i kierowcą tira, którzy, co tu gadać, po prostu popadli w obłęd, widząc ten przejazd małego fiata tuż przed swoimi nosami, ten hazardowny skok między Scyllą tramwaju a Charybdą tira, to było, panie Bohumilu, naprawdę coś wspaniałego, ten tryumf inteligencji nad masą, ta ironiczna kpina ze ślepej i głuchej frustracji, to zagranie im na nosie przez pannę Ciwle i jej kursanta: trą la la bum cyk cyk, pocałujcie nas w dupę, głupie wuje. — O Jezusie Nazareński — wyszeptalem — ależ pani jeździ, jestem zdruzgotany — no nie, dlaczego — śmiała się dźwięcznie — nigdy nie będę takim mistrzem — przełknąłem ślinę — nigdy pani nie dorównam, choćby nie wiem co — no, no, spokojnie — powiedziała — widziałam już takich jak pan, cicha woda, prawda? — i utkwiała we mnie spojrzenie szarych źrenic — ale niech pan dokończy z tą swoją babką Marią, a właściwie chodzi mi o tego zmiażdżonego Citroëna i uszkodzoną lokomotywę, chodzi mi o to, czy samochód był ubezpieczony i czy ten instruktor Czarzasty dostał jakieś odszkodowanie, no bo uszkodzenia lokomotywy to było pewnie zmartwienie kolei państwowych, no nie? — znów spojrzała na mnie i to spojrzenie było jeszcze bardziej niesamowite niż jej dziwne nazwisko — no właśnie, że nie — odparłem — było całkiem inaczej, niż pani myśli, w tamtych czasach samochody należały najczęściej do samych klientów, to jest, chciałem powiedzieć, do kursantów, instruktorzy natomiast wynajmowali się do pracy zupełnie jak nauczyciele tańca albo stroiciele fortepianów; o określonej godzinie pan Czarzasty podjeżdżał pod dom klienta na swoim bicyklu, uwalniał nogawkę spodni z agrafki, a trzeba tu dodać, że była to srebrna pamiątkowa agrafka z diamencikiem, którą pan Czarzasty wpinał natychmiast w swój angielski krawat, następnie poprawiał kaszkiet, czasem jeszcze mankiet koszuli i ruszał do umówionej bramy kamienicy lub ogrodowej furty, sprawdzając na zegarku, czy aby nie jest

minutę przed czasem, a jeśli tak, to szedł powoli, bo w tamtej epoce bardzo było źle się spóźnić, ale jeszcze gorzej zawcześcić, jak mówili we Lwowie, no więc przechodząc do istoty sprawy, ten citroen, proszę pani, należał do mojej babki Marii, dostała go w prezencie od dziadka Karola, który wtedy był jeszcze jej narzeczonym i kończył studia drugiego stopnia w Berlinie, a ponieważ babka zapomniała ubezpieczyć auto, pan Czarzasty bardzo się wtedy na tym przejeździe denerwował — no bo jak panna Maria powie o tym narzeczonym, może lepiej napisać o tym w liście, ale w żadnym wypadku nie depeszą, bo depesze zawsze przynoszą pecha i w tym wypadku na pewno doszłoby do zerwania zaręczyn, a przecież ten pan inżynier Karol to taka dobra partia — powtarzał instruktor; tymczasem maszynista, gdy zepchnięto już z torów resztki automobilu, uważnie badał swoją lokomotywę: najpierw zderzaki, potem latarnie, wreszcie zaglądał pod przednie koła i obmacywał tłoki, lecz nigdzie nie mógł znaleźć śladu zderzenia w postaci rysy, czy choćby lekkiego zadrapania i był tym zupełnie zrozpaczony, no bo kto mu w dyrekcji uwierzy, że tak duże spóźnienie spowodowane było taranowaniem francuskiego auta, kto zechce mu dać wiarę, gdy nie ma żadnych śladów, i nawet jeśli zaświadczą konduktorzy albo ktoś ważny z grona pasażerów, i tak będą wiedzieli swoje, i tak obetną mu premię albo co gorsza przesuną do niższej kategorii maszynistów i nigdy już — tu prawie się rozplakał — nie poprowadzi pospiesznego z Wilna do Lwowa lub sleepingu Lwów–Warszawa–Poznań–Berlin, jednak na szczęście — staliśmy z panną Ciwle na czerwonym świetle i widziałem, że moja opowieść sprawia jej prawdziwą przyjemność, bo już zupełnie zapomniała, że to ja powinienem siedzieć za kierownicą — jednak na szczęście ciągnąłem dalej — w tym pociągu jechał w wagonie pierwszej klasy pan Henry Lloyd–Jones, reporter londyńskiego „Timesa”, którego wysłano do Wschodniej Małopolski, by zebrał materiały o Huculach, tak zatem ten Lloyd–Jones pierwszy wyskoczył z wagonu i natychmiast zaczął pracę — *that's terrific* — mamrotał, fotografując zewłok francuskiego auta — *it looks like Waterloo* — powtarzał z ukontentowaniem, celując obiektywem w firmowy znaczek citroena spoczywający w błocku — *absolutely amazing* — chichotał, pstrykając polską lokomotywę, którą potem w swojej korespondencji przyrównał do słowiańskiego Wellingtona — tak — mówiłem do panny Ciwle — i niechże sobie pani wyobrazi, że dzięki tym fotografiom i artykułowi w „Timesie” zatytułowanym *Everyone was deeply touched* czy jakoś podobnie, ten maszynista nie dostał za spóźnienie żadnej nagany, a wręcz przeciwnie, złoty zegarek i wyróżnienie, moja babka Maria natomiast, mimo że ten citroen, jak już powiedziałem, nie był ubezpieczony, kilka dni potem otrzymała od pana Rosseta, dyrektora Citroena na całą Europę Wschodnią, kluczyki od nowego auta. — Nie, to niemożliwe! — wykrzyknęła panna Ciwle, spoglądając w lusterko — złoty zegarek i nowy citroen? Przecież taki wóz musiał kosztować masę forsy, chyba jeszcze więcej niż dzisiaj. — To się zgadza powiedziałem — ale to wszystko z powodu anglosaskiej prasy, która już wówczas była potęgą. Bo gdyby, dajmy na to, ktokolwiek zamieścił te zdjęcia sprasowanego citroena i niedraśniętej polskiej lokomotywy, dajmy na to, w „Kurierze Lwowskim”, albo „Gońcu Małopolski Wschodniej”, gdyby ktokolwiek o tym napisał, tak jak to było rzeczywiście w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym”, i na dodatek dołączył jeszcze gorące zdjęcia, to pies z kulawą nogą nie dałby temu wiary — prawdy tu tyle — kłapano by wokoło — co kot napłakał, bo niby jakim cudem — gęgano by — lokomotywa nie jest ani draśnięta, no i jeszcze niby ten fart, że tamtych dwoje zdążyło na czas wyskoczyć z limuzyny, o, już my znamy taką hucpę i takie banialuki, to przecie brednie, że pannę z instruktorem uratowała Matka Boska, jak można w kraju naszym religię mieszać do sensacji, albo, co gorsza, do reklamy!! — Ale gdy rzecz ujrzała światło dzienne kilka dni później w „Timesie”, no, to zupełnie inne były czyny i rozmowy. Najpierw pan Willman Cox z Londynu zadzwonił do Chrzanowa i mówi — kochany panie dyrektorze Zieliński, czy możemy zamówić w pana fabryce piętnaście lokomotyw, to na początek, tak między nami mówiąc, poufnie powiem panu, że odkąd kieruję British Railways, czegoś takiego jeszcze nie przeżyłem; telefonują do

mnie zwykli ludzie i krzyczą do słuchawki — dlaczego u nas nie ma takich lokomotyw? Dlaczego w ojczyźnie Watta i Stephensona nie produkuje się takich cacek? Żądamy, aby nasze pociągi obsługiwane były przez takie właśnie, a nie inne maszyny. Lecz to nie koniec — perorował prezes British Railways — drogi panie dyrektorze Zieliński, niechże pan sobie wyobrazi, że wczoraj miałem telefon z Downing Street i osobisty sekretarz pana premiera był uprzejmy poinformować mnie, że nad zdjęciem waszej lokomotywy, która rozpruła to francuskie brzydactwo, tę ich republikańską puszkę sardynek, że nad tym zdjęciem z najwyższym ukontentowaniem pochylali się pan premier i następca tronu, książę Walii, którego to Wysokość raczyła zadać panu premierowi pytanie o saldo obrotów handlowych z pańskim bohaterskim krajem, co wystarczyło, aby nasz minister komunikacji zagadnął mnie o waszą fabrykę, na co odparłem, że od dawna jestem już z wami w kontakcie i tylko nasze cła na parowozy, semaforey *et caetera* wiążą mi ręce, na co minister nasz powiedział — to będzie załatwione na posiedzeniu Izby Gmin — per saldo zatem spieszę panu donieść, drogi dyrektorze Zieliński, że zamawiamy oficjalnie piętnaście parowozów i to bez próbnych jazd, a jeśli pan zechce nam powierzyć pośrednictwo — wiem, wiem, to zawsze delikatna sprawa — więc z pośrednictwem możemy panu sprzedać dwadzieścia sztuk do Australii, trzydzieści dwie do Indii, siedem na Cejlon, osiem do Bantustanu i jedną na Falklandy, jedną, bo tam projektujemy dopiero pierwszą linię kolejową. — Niech pan przestanie, błagam — panna Ciwle uniosła dłonie z kierownicy — niech pan przestanie, bo zaraz się rypniemy o krawężnik. No a Citroen? — zapytała natychmiast, włączając przy tym prawy kierunkowskaz, przy czym ruszyła wolno przez tramwajowe torowisko na placik manewrowy — co z nowym Citroenem? — Najpierw zegarek — powiedziałem, czując, że zbliża się krytyczna chwila — złota Omega maszynisty! No więc niech pani sobie wyobrazi, że po tym telefonie od pana Coxa do dyrektora chrzanowskich fabryk parowozów natychmiast poszedł chyr, że maszynista powinien zostać odznaczony i co to jest, co to w ogóle znaczy, by taki zasłużony człowiek pozostał bez nagrody, to chyba jest możliwe tylko u nas, gdzie liczy się protekcja i koncesja, a nie uczciwa praca, więc kiedy doszło polecenie via Warszawa do lwowskiej dyrekcji kolei państwowych, natychmiast chcieli go zawezwać choćby telegraficznie z trasy, lecz okazało się, że maszynista Hnatiuk wziął tego krytycznego dnia należny mu, zaległy dwutygodniowy urlop i zniknął jak kamfora, i pewnie dano by mu święty spokój, gdyby nie telefony — najpierw z warszawskiej dyrekcji kolejowej, potem z ministerstwa komunikacji, następnie przemysłu, a w końcu spraw wewnętrznych. — Gdzie jest ten dzielny maszynista? — wrzeszczano do słuchawki — on zrobił dla nas więcej niż tuzin handlowych radców na placówkach wołano — dlaczego we Lwowie nie potrafią ustalić, gdzie do diaska spędza urlop nasz pracownik, było nie było państwowej, strategicznej firmy! W Poznańskim nie do pomyslenia — stawiano kropkę nad i — chyba we Wschodniej Małopolsce nadszedł czas nieuchronnych zmian, bo widać, że wszędzie myśli się państwowo, tylko nie we Lwowie, a może wy, koledzy, nawet nie wiecie, że wojna się skończyła, może wy nadal macie tam u siebie portrety Franciszka Józefa w stroju koronacyjnym, może na waszych zegarach stacyjnych czas się zatrzymał, o ile w ogóle wiecie, co to jest czas dla naszej polskiej gospodarki! — To już nie były pogrożki — mówiłem do panny Ciwle, która akurat w tym momencie zatrzymała swojego fiata pomiędzy pasiastymi słupkami z gumy — to była zapowiedź rewolucji, a chyba pani wie, że rewolucje to nie była specjalność galicyjska, poza tą jedną, kiedy chłopci puszczali dwory z dymem i rżnęli swoich panów piłą, wolniutko, metodycznie, za wszystkie lata nędzy i poddaństwa, tak, niczego bardziej się nie obawiano w tamtym pięknym mieście niż zapowiedzi zmian, bo zmiany mają to do siebie, że z dobrego czynią gorsze, a z gorszego całkiem złe, tak uważano we Lwowie i okolicach przynajmniej przez pięćdziesiąt ostatnich lat monarchii Austro-Węgier, zatem wprowadzono w ruch nie tylko kolejowe służby, ale też tajnych wywiadowców, posterunkowych, komisarzy, przodowników — wszystko na próżno, bo w małym domku na Zamarstynowie, gdzie wśród jabłoni, wiśni i

czereśni, tyczek fasoli, kit kukurydzy, pędów chmielu i winnej latorośli mieszkał ze swoją żoną i dwójką dzieci maszynista Hnatiuk, nie było po nim śladu. — Hospody, panowie, cóż na to wam poradę — załamywała ręce pani Hnatiukowa — przecież on nie na służbie, sama bym wiedzieć rada, gdzie on się zabajtlował, huncwot jeden, sama bym prała go po pysku, ale tak, co: przyszedł, powiedział — to już koniec — wziął dwieście złotych i tyle go widzieliśmy, a to nieszczęście, bo on nie pije prawie wcale, ale na tę zgryzotę to pewnie kupił za wszystko wódki i kielbasy i poszedł w góry, jak w kawalerskich czasach, on to lubił samotnie łązić płajem, tak go szukajcie, może gdzie w kołomyjskim szynku, albo w Kufach — na co komisarz pan Lamparski zmarszczył gniewnie brwi i przerwał — pani Hnatiukowa, chce nam pani powiedzieć, że nie wie, gdzie spędza urlop pani własny mąż? Czy to poważne? Czy nie rozumie pani, że my nie mamy czasu? Ze sprawa jest państwowej wagi? — na co błada jak papier żona maszynisty usiadła na krześle i wyszeptala — Hospody, panowie, on przecież żadnej polityki, żadnych gazetek, od komunistów trzyma się z daleka, a czegoż to podniosła nagle dumnie twarz i głos — przecież niczego on nie zrobił kryminalnie, w robocie stawi się na czas, no, czego wam tu szukać w naszym domu? — Panna Ciwle, choć rozbawiona, przystąpiła wreszcie do właściwego punktu naszej lekcji — no dobrze, proszę siadać za kierownicę — wysiadła z fiata — najpierw lusterka, potem pas, dobrze, a teraz startujemy i bardzo proszę rękaw! — Dlaczego przy pierwszym ćwiczeniu manewrowym wybrała zadanie najtrudniejsze? Tego nie wiem do dzisiaj. Być może chciała utrzyć nosa takiemu chojrakowi, co zamiast sprawnie wykonywać polecenia, wykręca się historyjkami sprzed pół wieku, być może zresztą w ogóle o tym nie myślała, fakt pozostaje jednak faktem, że byłem spocony jak mysz, ręce mi drżały nieustannie, a ilość przewróconych słupków z gumy dałaby mi tytuł mistrza świata, gdyby to były kręgle. Pan nawet sobie nie wyobraża, Kochany panie Bohumilu, co to jest jechać na wstecznym biegu dobrych czterdzieści metrów zakrzywionym jak elipsa, wąskim rękawem, co chwila wypadając z trajektorii, co chwila obalając lewy albo prawy słupek i dopuszczając do zgaśnięcia silnika; przecież te pańskie lekcje wieczorne na motocyklu Jawa 250, kiedy śmigaliście z instruktorem Forztikiem przez Winohrady albo Žižkov, podczas gdy złote liście klonów opadały sobie poetycznie do Wełtawy i przepływały pod mostem Karola, te pańskie lekcje jazdy dla niezaawansowanych były jak chwile lirycznego relaksu w porównaniu z moją, zatłoczoną do niemożliwości ulicą Kartuską, albo tym placem manewrowym na zapleczu monopolowego sklepu, gdzie my, kursanci, byliśmy jak aktorzy próbujący awangardową sztukę w obecności niezłomnych widzów. No nie — powiedziała wreszcie panna Ciwle — jak tylko przestaje pan gadać, to zaraz walimy w słupek albo gaśnie silnik, proszę dodawać gazu lekko i wolno puszczać sprzęgło, i absolutnie nie zmieniać kąta natarcia, samochód pójdzie łukiem sam, o tak, teraz całkiem dobrze, wolno, powolutku — dotykała swoimi dłońmi moich dłoni i dociskała je bardzo delikatnie do kierownicy — i proszę już nic teraz nie mówić — no dobrze wyszeptalem — czy nie sądzi pani jednak, że skoro musimy już ćwiczyć ten cholerny rękaw, to można by jechać raczej przed siebie niż na wstecznym, no bo co to za wąż, który pełza do tyłu, to jest sprzeczne z prawami natury, droga panno Ciwle... — Kochany panie Bohumilu, nigdy nie zapomnę, co pan mi odpisał w swoim przedostatnim liście, że mianowicie prawdziwy koneser i artysta nie rozpoznaje kobiety wedle rozmiarów piersi i pośladków, lecz właśnie po dłoniach, co się dokładnie w tym przypadku potwierdziło, bo panna Ciwle w tych swoich ciemnych spodniach i krótkiej skórzanej kurtce nie wyglądała, jak to pan kiedyś ślicznie ujął, ani na cycowe, ani tym bardziej na dupiarę, nie, panna Ciwle była raczej szczupła pod każdym względem i nie należała do tego typu dziewcząt, na widok których kierowcy ciężarówek wbijają swój nos w klakson, otóż to właśnie, drogi panie Bohumilu, panna Ciwle była na pierwszy rzut oka typem tak zwanej neutralnej chłopczycy, w której na szczęście element postępu nie spowodował jeszcze trwałych zmian, dzięki czemu panna Ciwle miała piękne, kasztanowe włosy upięte w kucyk, a nie ostrego języka na głowie;

zamiast flanelowej koszuli w kratę jej dziewczęce piersi okrywała jedwabna bluzka, a na stopach zamiast ciężkich traktorów miała zgrabne, pilchowskie czółenka, prawie tak samo delikatne i finezyjne w kształcie jak te jej długie palce, którymi dociskała moje dłonie do kierownicy fiata, dzięki i tylko dzięki czemu dojechałem w końcu na wstecznym biegu do końca tego piekielnego rękawa, aż wszystkie obszcymury i wszystkie pijusy stojące na zapleczu monopolowego sklepu były mi brawo spod wielkich liści łopianu, okrywających nagi bezwstyd cuchnącego śmietnika. — No, czy znaleźli tego maszynistę? — panna Ciwle wyjęła z papierośnicy gotowego skręta — długo się ukrywał? — Ależ on się wcale nie ukrywał — z pewnym zaskoczeniem przyjąłem od niej zapalonego papierosa, którym zdążyła się tylko raz zaciągnąć — on po prostu rozpaczał w samotności, bo przecież myślał, że to koniec jego pięknej kariery, że to koniec zawodowego życia, że z najwyższego szczebla Jakubowej drabiny, czyli z przedsionka kolejowego nieba, spadnie na samo dno jakiegoś naprawczego warsztatu, dlatego wziął sobie pokój na piętunku u Ajzensztoka, który trzymał karczmę w Żyrawce, i w tym pokoju, z którego w ogóle nie wychodził, snuł maszynista Hnatiuk czarną pajęczynę myśli o tym, że z Polakami to jednak nigdy nic nie wiadomo, bo, jak już dawno temu napisał Fiodor Michajłowicz Dostojewski, Polacy są podstępni i niewierni; najpierw dopuszczą cię do komitywy, poklepią po plecach, szepną kilka miłych słówek, a w chwilę potem wyśmieją twoją prawosławną wiarę i nienajlepszy akcent — rozmyślał z goryczą maszynista Hnatiuk w zajeździe Ajzensztoka i byłby tak rozmyślał aż do końca swojego zaległego urlopu, gdyby nie starszy posterunkowy Gwóźdz, który przez przypadek, pijąc w zajeździe lemoniadę, usłyszał rozmowę Hnatiuka z Ajzensztokiem toczoną przy uchylonych drzwiach i mówiąc krótko — oddałem panie Ciwle skręta zatrzymał poszukiwanego i odstawił go do Dyrekcji Kolei, gdzie wręczono mu ten złoty zegarek i tysiąc pięćset złotych nagrody ze specjalnego funduszu chrzanowskiej fabryki lokomotyw. — Tak, drogi panie Bohumilu, na chwilę musiałem przerwać tę opowieść, bo od tytoniu panny Ciwle zakręciło mi się w głowie, taki był silny i aromatyczny, lecz skoro znowu wsiedliśmy do fiata i gdy wrzuciłem pierwszy bieg, szczęśliwie opuszczając manewrowy plac, od razu zapytała — no a ten nowy citroen pańskiej babki Marii? — Ach, to dopiero była niespodzianka cudem udało mi się skrócić na Kartuską w lewo i wrzucić bez zgrzytnięcia dwójkę — od artykułu w „Timesie” minęło ledwie parę dni, aż tu wieczorem, w mieszkaniu babki dzwoni telefon, międzymiastowa z Berlina, którą odebrał jej ojciec, to znaczy mój pradziadek Tadeusz, i od razu się strasznie zdenerwował, bo w słuchawce usłyszał głos przyszłego zięcia, jak ten wykrzykiwał jakieś okropne rzeczy o pogrzebie Marii, na który to pogrzeb przyszły teść nie raczył nawet wezwać niedoszłego zięcia, i tak, nie dając sobie wzajem dojść do słowa, nie mogli ani przerwać, ani też skończyć tej rozmowy, bo musi pani wiedzieć — wyjaśniłem — że narzeczony Karol po przeczytaniu reportażu w „Timesie”, którego kupił na Potsdamer Platz w trafice, doszedł do najczarniejszych wniosków, dodajmy, nie bez winy dziennikarza, pana Lłoyd-Jonesa, który w barwnym opisie miażdżenia francuskiej puszki przez polską lokomotywę słowem nie wspomniał o cudownym ocaleniu instruktora i kursantki przez Matkę Boską Nieustającej Pomocy, a mianowicie, że stracił narzeczoną. Niech pani sobie wyobrazi — ciągnąłem, przeskoczywszy przez czerwone światło — że oni nie mogli się dogadać, bo kiedy teść krzyczał do słuchawki we Lwowie — przecież Marysia żyje! — zięć wyrzaskiwał do tuby w Berlinie, że ma przed sobą płachtę „Timesa” z fotoreportażem i bardzo prosi, żeby go nie mamić, bo jest przygotowany na najgorsze. — Jezu — śmiała się panna Ciwle — no a nie można było poprosić pańskiej babki do słuchawki? — Otóż to dodałem nieśmiało gazu na dwójce — babka stała przy oknie i słysząc kłótnię, dawała ojcu takie właśnie znaki, ale to trwało krótko, bo w tej samej chwili, kiedy przyszły teść krzyknął przecież Marysia żyje! — ona zauważyła, jak ulicą Ujejskiego wolno nadjeżdża nowiuteńki citroen, jak zatrzymuje się przed bramą ich kamienicy i jak wysiada z niego pan Rosset, przedstawicie! citroena na całą Polskę południowo—wschodnią, sprawdzając numer domu z

adresem zapisanym na karteczce. I kiedy pradziadek Tadeusz sam postanowił wreszcie przeciąć węzeł tej rozmowy i krzyknął do przyszłego zięcia — dobrze, zaraz zawezwę do słuchawki Marysię! — jej nie było już w salonie, musiała iść do gabinetu, gdzie należało przyjąć niespodziewanego gościa, więc przyszły teść powiedział z pewną konsternacją do słuchawki — no właśnie była tu przed chwilą, ale jej teraz nie ma — na co przyszły zięć wykrzyknął — dosyć tych kłamstw, dlaczego nie da mi pan poznać prawdy!?! — i cisnął z furią słuchawką, odprowadzany zdumionym wzrokiem niemieckiej telefonistki z Potsdamer Platz ku samym drzwiom przeszklonej rozmównicy. No więc tak to wyglądało – wrzuciłem prawy kierunkowskaz — pradziadek Tadeusz stał ze słuchawką w dłoni, nie mogąc uwierzyć głosowi niemieckiej telefonistki, że rozmowa została zakończona, babka Maria stała w gabinecie naprzeciwko pana Rosseta, nie mogąc uwierzyć, że francuska firma pragnie jej ofiarować nowe auto w zamian za krótki wywiad do „Le Monde”, a mój dziadek Karol stał na środku Potsdamer Platz w Berlinie z pomiętą płachtą „Timesa”, nie mogąc uwierzyć słowom niedosłęgo, jak mniemał wówczas, teścia. — Teraz to my stoimy — powiedziała spokojnie panna Ciwle — nie zjechał pan na prawy pas, powinnam była to powiedzieć, ale czy panu można przerwać? — W istocie coraz większy korek zaczynał się za rufą fiata, ale na prawym pasie sunęły nieprzerwanie samochody i żaden z nich nie raczył nas przepuścić, żebyśmy z Kartuskiej mogli skręcić w Sowińskiego, gdzie się mieściła firma Corrado, dlatego, mimo klaksonów oraz widomie nieprzyjaznych gestów znad kierownic, mogłem dokończyć przynajmniej część historii o nowym citroenie, którego babka Maria faktycznie otrzymała za darmo, no bo cóż znaczył ów krótki wywiad, jakiego udzieliła następnego dnia dziennikarzowi „Le Monde”, w którym to oświadczyła, że gdyby stanęła na przejeździe innym samochodem, na pewno by nie żyła, bo ani czeska tatra, ani niemiecki horch, ani polski fiat, ani tym bardziej amerykański buick nie posiadały tak sprawnie otwieranych drzwi, ułatwiających bezpieczne opuszczenie auta na kilka sekund przed zderzeniem, drzwi ratujących życie przy każdej katastrofie, tu na sugestię dziennikarza babka Maria opowiedziała o swoich ciężkich snach, w których płonąła zatrzaśnięta w amerykańskim buicku, tak więc, gdyby nie owe drzwi specjalnie zaprojektowane w fabryce citroena przez inżynierów myślących o wszystkim, cała ta sprawa tendencyjnie opisana przez reportera „Timesa”, wzięłaby obrót wręcz tragiczny, dlatego moja babka Maria stojąca już przy nowym citroenie w błysku magnezji flesza mogła się uśmiechać, mogła optymistycznie wyznać, że z citroeniem może bezpiecznie podróżować, nie dbając o wyboje, dziury w drogach, chłopskie furmanki, powodzie, huragany i lokomotywy z Chrzanowa. — Patrzyłem, jak panna Ciwle mocuje się z drzwiami swojego fiata i wreszcie je otwiera, było w tym wiele desperacji, bo chociaż z naszej prawej strony nie pędził pospieszny Wilno–Baranowicze–Lwów prowadzony przez maszynistę Hnatiuka, a tylko samochody, to jednak wymagało to odwagi: stanąć na prawym pasie, zatrzymać jak policjant ruch i gestem dłoni dać mi znak, żebym szybko, wykorzystując krótkotrwałą lukę, skręcił w ulicę Sowińskiego, co wykonałem prawie perfekcyjnie, prawie, bo kiedy mały fiat spokojnie toczył się już wąską uliczką ku firmie Corrado, kiedy w lusterku ujrzałem uśmiechniętą twarz panny Ciwle, która już do mnie dochodziła, zamiast hamulca wcisnąłem pedał gazu i zanim zdążyłem pojąć i naprawić tę pomyłkę, mały fiat gwałtownie skoczył w przód i zjechał na krawężnik w prawo, no i to była moja pierwsza kraksa, kochany panie Bohumilu, zderzenie z blaszanym pudłem kosza, z którego oprócz bananowej skórki sypnęły się kartony, szmaty, ogryzki, niedopałki, puszki, butelki i gazety, oraz, nie wiedzieć skąd i czemu, ebonitowa dłoń, przerażający fragment manekina, którego oderwany od całości przegub zdobiła na dodatek emaliowana bransoletka. — Nie można pana pozostawić ani na sekundę — krzyczała panna Ciwle pochylona nad pękniętym kloszem prawego reflektora — nie można pana niczego nauczyć — stuknęła palcem w zadrapany lakier — gdzie są ci pana dziennikarze z „Timesa” czy tego tam „Le Monde” — poprawiała oburącz skrzywiony zderzak — a może zjawi się niespodziewanie dealer fiata i

zmieni ten mój złom na nową brykę? — Do firmy Corrado było zaledwie trzydzieści metrów, panna Ciwle nie oglądając się na mnie, wskoczyła do samochodu i ruszyła pod górę wąskiej uliczki, a ja biegłem chodnikiem za jej małym i uszkodzonym fiatem, biegłem co sił, żeby stanąć na niewielkim parkingu, zanim ona wysiądzie z samochodu, chciałem otworzyć drzwi jej fiata, uklonąć się, paść na kolana, błagać o przebaczenie, obiecać naprawę szkód i przyrzec, że nigdy, już przenigdy, nie opowiem niczego o dawnych czasach i dawnych samochodach, ale gdy tylko stanęliśmy naprzeciwko siebie przy otwartych drzwiach tego jej fiata, ja — zziębnięty sprintem, ona — zdenerwowana stłuczką, natychmiast powiedziałem — jutro przyniosę forszę za tę lampę, ale niech pani się nie złości i proszę mnie nie skreślać, proszę mnie nie wyrzucać, bo nikt nie uczy tak jak pani — a wtedy panna Ciwle uśmiechnęła się do mnie i odpowiedziała — no pewnie, że nikt, jutro dziesiąta rano na placu manewrowym, a swoją drogą, czy ten instruktor Czarzasty nadal uczył pańską babkę? — O, tak — odparłem natychmiast — tyle tylko, że nigdy już nie wybrał drogi przez przejazd kolejowy. — Kochany panie Bohumilu, pan wie najlepiej, czym jest prawdziwe szczęście, ta krótka chwila, jakiej nie oddalibyśmy potem za wszystkie skarby świata, ten moment jeszcze niespełniony, lecz już zapowiedziany, w którym czujemy sprzyjający los, ten sam nikczemny los, który na co dzień nam nie sprzyja; otóż to właśnie czułem wtedy, idąc Sowińskiego w dół, to, nic innego, byłem szczęśliwy zapowiedzią następnych lekcji z panną Ciwle i czułem się zupełnie jak ten pański Gaston, który przy ulicy Głównej w Pradze spotkał przed szybą wystawową Miejskiego Handlu Detalicznego Cygankę i już wiedział, że to nie jest zwykłe spotkanie, bo przecież nie co dzień spotyka się Cygankę na ulicy Głównej przed Miejskim Handlem Detalicznym, podniosłem więc z chodnika dłoń manekina z emaliowaną bransoletką i szedłem do przystanku przy Kartuskiej przepelniony szczęściem i zapachem włosów panny Ciwle, a wszystkie głosy miasta, cały ten przerażający huk pędzących ciężarówek, tramwajów i autobusów zestroił się w symfonię majowego oczekiwania i jeśli czegoś żałowałem, to tylko tego, że nie zdążyłem przedstawić pannie Ciwle finału tamtej opowieści, bo przecież dziadek Karol po tej rozmowie z przyszłym teściem był przekonany o śmierci narzeczonej i nie mógł się pogodzić z myślą, że tak okropnie go potraktowano, najpierw nie zawiadamiając o katastrofie i pogrzebie, następnie kłamiąc przez telefon; to się po prostu nie mogło zmieścić w jego głowie, dlaczego tak poważny człowiek, jakim był ojciec Marii, mógł się zachować do tego stopnia niewłaściwie, a prawdę mówiąc, nieprzyzwoicie — dlaczego nie powiedział prawdy, dlaczego kłamał — myślał przez cały wieczór i dzień następny dziadek Karol, aż wreszcie kupił bilet i wszedł do pociągu pełen najczarniejszych myśli, a kiedy przesiadał się już w Warszawie na pospieszny do Lwowa, w hali dworca kupił kilka gazet, wśród nich świeży numer „Le Monde’u”, w którym ujrzał swoją narzeczoną przed maską nowego citroena i natychmiast pobiegł na dworcową pocztę, żeby zamówić błyskawiczną do Berlina, i poprosił swojego niemieckiego kolegę Schwarza, żeby ten wysłał na lwowski adres niedoszłego teścia telegram — Karol nie żyje stop pogrzeb pojutrze stop rzeczy osobiste złożone w polskim konsulacie do odebrania stop pogrążeni w smutku koledzy z korporacji stop — i powiedziawszy to Schwarzowi, w ostatniej chwili zdążył na swój pospieszny do Lwowa i teraz był już zupełnie spokojny o moment przywitania, bo rzeczywiście wszystko obliczył z inżynierską dokładnością, i kiedy rano jechał dorożką z Dworca Głównego, kupiwszy dwie wiązanki kwiatów: jedną żałobną, a drugą normalną, kiedy jak zawsze po powrocie przyglądał się swojemu rodzinnemu miastu z czułością i uwagą, w mieszkaniu przy Ujejskiego panował już zamęt, gdyż babka Maria zdążyła omdleć kilkakrotnie, zanim wezwano lekarza, ciocia Stasia robiła kompresy i szukała soli, a mój pradziadek Tadeusz zdążył zamówić błyskawiczną z konsulem w Berlinie, na którą czekał, chodząc po salonie nerwowymi krokami, i wtedy rozległ się dzwonek u drzwi i stanął w nich Karol z tymi dwoma wiązankami kwiatów, i dopiero się zaczęła awantura, bo kiedy Maria krzyczała na niego — jak mogłeś nam to zrobić!? Karol wyjął najpierw płachtę „Timesa”, a potem „Le

Monde'u" i pytał — a jak wy mogliście mi to zrobić!!? — i tak sprzeczali się głośno, i nie mogli dojść do porozumienia, ponieważ co chwilę któreś z nich wykrzykiwało — ty mnie nie kochasz! — na co drugie jeszcze głośniej przeczyło — nie, to ty mnie już nie kochasz! — i tak rozwijała się ta fuga, aż wreszcie babka Maria oddała dziadkowi Karolowi klucze od nowego citroena i powiedziała, że nie chce go już więcej widzieć, bo jak każdy mężczyzna oczywiście bardziej interesuje się losem samochodu niż narzeczonej, na co dziadek uniósł się honorem, cisnął obie wiązanki kwiatów do tuby na parasole i mówiąc — zatem żegnaj na zawsze! — wybiegł z kamienicy, wskoczył do auta i ruszył z kopyta, i pewnie w ten sposób, kochany panie Bohumilu, zerwaliby ze sobą na zawsze, co dla mnie miałyby znaczenie zasadnicze, bo byłbym kimś zupełnie innym, nie zostawszy po latach ich wnukiem, ale raz jeszcze w życiu Marii i Karola, więc w jakimś sensie także w moim życiu, zdecydował czynnik motoryzacyjny, bo oto dziadek Karol dodał ostro gazu i w tym momencie z bramy sąsiedniej kamienicy wyjechał wóz mleczarza, dziadek nacisnął na hamulce, ale to były hamulce citroena, klockowe, nie hydrauliczne, tak więc francuskie cudo wyrznęło ostro w piramidę baniek, zgrzytnęła strasznie prasowana blacha, huknęło rozbijane szkło, zaryczał dociśnięty klakson i babka Maria, która wybiegła za dziadkiem Karolem na ulicę, żeby wykrzyknąć mu do tylnej szyby auta to ty żegnaj na zawsze! — teraz z rozwianymi włosami pędziła na miejsce wypadku i wyciągała narzeczonego z białej mazi, gładząc jego rozcięte na przedniej szybie czoło i szepcząc mój Karolku, tylko jednego ciebie kocham na tym świecie! na co on, powłócząc złamaną prawą nogą, wspierając się na jej ramieniu, szeptał, że nigdy nie miał co do tego wątpliwości i że też ją kocha najmocniej na tym świecie, po czym dodał, że nigdy już nie wsiądą razem czy osobno do citroena ani żadnego innego francuskiego auta, bo francuska myśl techniczna, podobnie jak francuska polityka to zawracanie głowy, pusta fanfaronada, o czym świadczyć mógł prosty fakt, że przy przednim napędzie, tak nowoczesnym rozwiązaniem, citroen miał hamulce archaiczne, nie sprawdzające się w potrzebie, nie to co taki horch, bentley, albo Mercedes-Benz. Kochany panie Bohumilu, to było kilka dni później, z Ujeściska nie jechały w dół do miasta żadne autobusy, bo koło stawku wywróciła się cysterna i straż pożarna wraz z policją zablokowały drogę, biegłem przez pola, żeby nie spóźnić się na drugą lekcję z panną Ciwle, i słyszałem wysoko nad sobą skowronki, a z trawy co chwila wylatywały mi spod stóp furczące jak brzeszczoty kuropatwy; w plecaku miałem książkę z pańskimi opowiadaniem, wśród których jedno chciałem polecić mojej instruktorce, to o wieczornych lekcjach jazdy i przyrzekałem sobie, że teraz nie będę zagadywał panny Ciwle, że dam jej pana książkę i powiem — to jest opowiadacz, przy którym muszę milczeć — to był gotowy plan i zamierzona dyscyplina, ale gdy tylko wpadłem zdyszany na manewrowy placik minutę po dziesiątej, panna Ciwle uśmiechnęła się tajemniczo i zanim zacząłem ćwiczyć parkowanie tyłem, podała mi taki sam egzemplarz pana opowiadań i zapytała — czyta pan Hrabala? Ten jego ojczym Francin ma w sobie coś z pańskiego dziadka, o ile pan nie zmyśla oczywiście. — Wykonywałem polecenia szybko i nawet rękaw poszedł nadspodziewanie sprawnie, lecz ona ani razu nie powiedziała — dobrze — aż wreszcie zapytała — a pan się na mnie gniewa za to porównanie? — Staliśmy, paląc skręta, w słonecznej plamie, która rozdzielała plac na pół, po drugiej stronie pod kasztanem, w cieniu ceglanej ściany siedziało trzech zmęczonych mężczyzn nad butelkami piwa; podobni kiwającym się derwiszom mruzcili swoje opowieści, wśród których refrenowe słowa — kurwa — i — pierdolę — wznosiły się do nieba niczym strzelisty akt modlitwy płynącej nieustannie na chwałę upalnego przedpołudnia. — Mój dziadek Karol powiedziałem wreszcie — nigdy sam nie rozkręcał silnika i nie miał zaufania do motocykli, ponadto nie produkował piwa, tylko dynamit i materiały wybuchowe, może dlatego nie wierzył w postęp i nowe wynalazki, tak jak Francin, chociaż czasami, tak jak Francin, miał pomysł zupełnie zwariowane. — Wiedziała — panna Ciwle omal mnie nie ucałowała — no to proszę wsiadać — zgasła skręta na asfalcie — proszę teraz wyjechać na Kartuską w prawo, potem

kawałeczek prosto i potem w lewo do góry aż do Powstańców Warszawskich, a tam powiem, jak jechać! — Myślałem — zapinałem pasy — że dzisiaj będzie tylko manewrowy plac, muszę pani wyznać, uliczna jazda budzi we mnie wstręt. — No nie, dlaczego — śmiała się pełnym głosem, gdy ruszyliśmy — normalnie ktoś nawymyśla człowiekowi, powiedzmy, raz w tygodniu — tłumaczyłem, przepuszczając przed nosem małego fiata tramwaj — a jak się człowiek weźmie za to — zabębniłem palcami w kierownicę, skręcając wreszcie w prawo na Kartuską — w ciągu godziny zbierze tyle jobów, ile normalnie przypada mu od bliźnich przez cały rok. Nigdy nie przypuszczałem, że kierowcy są gorsi od szympansów i dają słowo, chciałem zrezygnować i gdyby nie ten Hrabal, którego niosłem dziś dla pani przez pola Ujeściska, byłaby kłapa, znaczy się dezercja, po prostu więcej bym nie przyszedł, no ale skoro pani wpadła na identyczny pomysł, skoro przyniosła pani dla mnie taką samą książkę, to może to coś znaczy, to może to jest jakiś znak, bo jak powiada Pismo, gdzie się gromadzi dwóch, to już jest trzech. — Niech pan uważa — przerwała mi surowo — proszę dać lewy kierunkowskaz i czekać aż ci z przeciwka staną na czerwonym, tak, teraz dobrze, no a te zwariowane pomysły pańskiego dziadka? — Najpiękniejszy był ten z murem — odpowiedziałem natychmiast — to był strzał w dziesiątkę, arcydzieło komediowego scenariusza, a wszystko się zaczęło od pana Norberta, który zarządzał majątkiem Sanguszków i zaprosił mojego dziadka na polowanie, podczas którego młody inżynier chemik poznał młodego księcia Romana i czekając na linii, od razu się zgadali, że stare ciotki są strasznie nudne, no bo obaj mieli ten sam problem nieustannych wizyt trwających po kilka tygodni, wizyt składanych przez stare ciocie, które nie tylko wprowadzały nieład w książęcym i inżynierskim domu, ale też uwielbiały rodzinny automobilizm i zadreęcały swoich gospodarzy nieustannymi prośbami o przejażdżki; tak zatem rozmawiali sobie, czekając z nabitymi sztucercami na lochę, aż nagle mój dziadek Karol wyznał księciu, że gdyby miał taki pałac jak on, otoczony z każdej strony solidnym murem, już dawno problem by rozwiązał. — Jak pan to rozumie? — książę przeładował sztucer. — Bardzo prosto — odpowiedział dziadek — trzeba tylko kilku robotników na jedno popołudnie i absolutnej dyskrecji. — No nie — panna Ciwle uchyliła okienko i zapaliła skręta — chce pan powiedzieć, że zamurowali ją w rodzinnej kaplicy jak tego nieszczęsnego Mazepę, przecież to nie były już takie czasy, nawet jak się było księciem. — Oczywiście — ciągnąłem — że nie chodziło o kaplicę, ale o przejażdżkę, a mówiąc krótko — ostatnią przejażdżkę hrabiny Eufemii, owej nieznośnej ciotki księcia Romana; owóz proszę posłuchać: na kilka dni przed jej przyjazdem gospodarz polecił panu Norbertowi sprowadzić majstrów i od południowej strony wybić w parkowym murze dziurę na szerokość drogi, następnie samą drogę przedłużyć od zakrętu do tej właśnie dziury, by, zatarłszy ślady wszelkich robót, w puste miejsce po omszałym murze wstawić kartonową atrapę, co wykonano bardzo zmyślnie, aż wreszcie doszło do przejażdżki, no i książę Roman, prowadząc w goglach i szaliku swoje bugatti, wziął ten ostatni zakręt, dodał gazu i jechał prosto w mur. — Stój, stój — krzyczała jego ciotka — gdzie ty jedziesz!? — a książę dodał jeszcze gazu i odkrzyknął — spocily mi się gogle, ale to chyba brama, ciociu! — no i gruchnęli w mur, tyle że kartonowy i wjechali na parkową aleję z wielką płachtą na masce, książę Roman uśmiechnięty, a jego ciotka, hrabina Eufemia, półprzytomna ze strachu. — Okropnie śmieszne — burknęła panna Ciwle — na miejscu tej książęcej ciotki sprąłabym gagatka na kwaśne jabłko przy wszystkich, jak smarkacza; no a ta ciotka pańskiego dziadka też miała swoją dziurę w murze? — Skąd — wrzuciłem jedynekę — przecież dziadek Karol nie miał do dyspozycji pałacu z parkiem, ani takiego muru, ani sportowego bugatti, nadal jeździł cytryną, tą samą, która na ulicy Ujejskiego spłynęła jego krwią i ukraińskim mlekiem, a jego dom dopiero był w budowie. — Coś tutaj się nie zgadza — powiedziała chłodno panna Ciwle — skoro nie miał domu, to gdzie przyjmował tę swoją okropną ciotkę? No i gdzie mieszkał z pańską babką, bo chyba do tego czasu nie byli narzeczeństwem? — Wszystko się zgadza — po trzeciej zmianie świateł nareszcie przyszła nasza kolej i mogłem ostro ruszyć ze

skrzyżowania w Powstańców Warszawy — mieszkał w służbowym domu przy fabryce. — No a fabryka nie była jego? — zdziwiła się panna Ciwle — przecież z tych pana opowieści wynika, że był bogaty. Niby skąd narzeczony kupuje narzeczonej citroena? — To dialektyka — odpowiedziałem — i Kapitał Marksa w jednym, bo musi pani wiedzieć, że kiedy dziadek wrócił już z Berlina do Lwowa po studiach drugiego stopnia, z głową pełną pomysłów i szkicami przyszłych patentów, jego jedyne źródło utrzymania wyschło, jego jedyny, maleńki szyb naftowy pod Borysławiem odmówił mu współpracy, co było zresztą ciekawe, bo wszystkie działki obok i wszystkie szyby wokół nadal sączyły ropę, a ten jego akurat przestał, więc dziadek wszystkie oszczędności wpakował w ekspertyzy, najnowsze wiertła i pogłębianie szybu, ale to wszystko było na nic, ropa na jego skrawku Eldorado skończyła się ostatecznie i w ten sposób mój dziadek Karol ze skromnego właściciela środków produkcji stał się elementem sił wytwórczych, czyli najemnym pracownikiem poszukującym zatrudnienia, i dlatego zaraz po ślubie przeniósł się z żoną do Chorzowa, a potem do Warszawy, a potem znów do Lwowa, stamtąd na jakiś czas do Wolnego Miasta Gdańska, potem raz jeszcze do Warszawy, jeszcze raz do Lwowa i moja babka Maria była już bliska obłądu, bo im skromniejszą mieli pensję, tym śmielsze plany snuł mój dziadek. — Popatrz — mówił — opracowałem nowe technologie, gdybyśmy w Polsce zaczęli je stosować, za lat dwadzieścia wyprzedzimy Niemców— ale babka Maria uśmiechała się tylko gorzko, bo nikt tych jego projektów nie czytał, a ona, która uwielbiała kwiaty, co roku sadziła je w innym ogrodzie w innym mieście, więc to wszystko wcale nie wyglądało tak różowo — zwalniałem za starą ciężarówką, która wyrzucała z siebie potworną chmurę spalin — dopiero kiedy Kwiatkowski zaczął budować fabrykę w Mościcach, dziadka projekty okazały się przydatne i wreszcie osiedli właśnie tam, najpierw w służbowej willi przy fabryce, potem we własnym domu. — Nieźle podsumowała panna Ciwle — no, a ta jego ciotka? W przeciwieństwie do pani hrabiny, pewnie nadal lubiła przejażdżki... — O tak — tym razem redukowałem biegi płynnie, bez najmniejszego zgrzytu — ciotka Zofia przyjeżdżała do nich co najmniej trzy razy w roku z Borysławia i zawsze zaczynała od tego, że kazała się wieźć dziadkowi do Gumnisk pod pałac księcia Sanguszki, a właściwie nie pod pałac, tylko pod mur parkowy, tam gdzie na powrót wstawiono kawał solidnej ściany, i wysiadała z auta, i szła ślepą odnogą drogi do tego miejsca, i dotykała go dłońmi, jakby się chciała przekonać, że nie jest już z kartonu, a potem wracała do citroena i kiedy dziadek ruszał z kopyta, ciotka Zofia wybuchała — co za nikczemność, co za czasy, co za upadek, co za arystokracja, co za młodzież, co za bolszewizm, co za ohyda — a dziadek Karol dodawał tylko gazu i czekał, aż ciotka Zofia wypowie sakramentalne — nie za nią nieszczęsną się modłę, która skończyła u czubków, ale za młodych ludzi bez sumienia, bo jak widzisz, Karolu, tych nie braknie już nawet w najwyższych sferach naszych — z czym dziadek zgadzał się milcząco i bez sprzeciwu, i jeszcze mocniej dociskał gaz, bo ciotka Zofia uwielbiała szybką jazdę i w gruncie rzeczy żałowała, że Karol nie jest księciem, ona nie jest hrabiną i że nie pędzą przez Zbylitowską Górę, Koszyce albo Zakliczyn sportowym bugatti, jak lubił to czynić Roman Sanguszko. Rozklekotana, ledwie widoczna zza czarnej chmury spalin ciężarówka, za którą wlekiśmy się w górę Powstańców Warszawy, nagle prychnęła i niczym wiekowy mul, który po latach pracy odmawia posłuszeństwa na kilka chwil przed śmiercią, stanęła bezradnie, blokując nasz pas ruchu. — Super — panna Ciwle spojrzała dyskretnie na zegarek — do kolacji nie ujedziemy nawet kilometra! — Rzeczywiście, panie Bohumilu, byliśmy zaszpunktowani i nawet gdyby moja instruktorka wyskoczyła z fiatka jak poprzednio, na nic by się to nie zdało. A ta cytryna — ciągnąłem więc spokojnie dalej — miała już policzone dni, bo musi pani wiedzieć, że dziadek Karol, aby zniechęcić swoją ciotkę Zofię do tych przejażdżek, wpadł na genialny pomysł, otóż zabierał z sobą swoją leikę i kilkanaście rolek filmu i dosłownie co chwila zatrzymywał auto, stawał na drodze, kładł się w rowie, włąził na drzewo albo znikał za stogiem siana, wykrzykując — spójrz, Zosiu, jaka to cudowna żaba! — albo — jakaż to

malownicza krowa! — lub — ta perspektywa chmur godna jest Rembrandta! — i ciotka biegła za nim i też się zachwycała, no bo nie wypadalo jej inaczej, więc dziadek, żeby jeszcze bardziej ją zniechęcić, za każdym razem, kiedy byli już w Mościcach, nagle spoglądał na zegarek i krzyczał jeszcze zdążymy oddać do wywołania! — po czym zawracał samochód i pędził przez most na Białej do Tarnowa, by parę minut przed zamknięciem oddać panu Bronsteinowi filmy do wywołania, ponieważ jego zakład przy ulicy Krakowskiej był najlepszy, a ciotka, która nie lubiła Żydów, musiała widzieć przez szybę samochodu i szybę wystawy, jak dziadek wita się serdecznie z panem Chaskielem Bronsteinem, jak odbiera od niego pliki poprzednich zdjęć, jak dyskutują niemal nad każdą fotografią co do przesłony światła no i czasu, musiała czekać w samochodzie, patrząc, jak dziadek bierze kilka nowych filmów i wreszcie płaci za to wszystko i ściska dłoń pana Chaskiela, dziękując mu nie tylko za obsługę, ale też za fachowe rady, co w sumie trwało nieraz ponad pół godziny i wreszcie ciotka zbuntowała się przeciwko fotograficznym pasjom dziadka i kiedy wybiegał z samochodu, krzyząc — spójrz tylko, Zosiu, ta dziewczyna w chuście, czyż nie podobna do Hucułki?! — ona pozostawała w aucie z obrażoną z miną; i tak też było nad Rożnowem, gdzie pojechali któregoś popołudnia, dziadek wyskoczył z auta i pstrykał jak najęty, bo nad doliną Dunajca i nad szkieletem wznoszonej zapory właśnie przelatywał samolot RWD 6, taki sam, jakim panowie Żwirko i Wigura zdobyli Challenge, i dziadek Karol stał i patrzył na tę maszynę w zachwyceniu, no bo nagle cały ten widok ze wzgórzami, rzeką, aeroplanem i zaporą wzruszył głęboko jego techniczną duszę, bo przecież ten samolot skonstruowany w Mielcu był doskonale nowoczesny, zaporą budowana w błyskawicznym tempie też była nowoczesna i dziadek poczuł w swoim powściągliwym sercu coś na kształt inżynierskiej dumy, że jednak odzyskany śmietnik, ten jego biedny kraj, chociaż zbyt wolno, to jednak wydostaje się z zapaści i może za dwadzieścia lat będzie coś znaczył pomiędzy Rosją i Niemcami. — Tak sobie wyobrażam — spojrzałem w oczy panny Ciwle — stan jego euforycznych myśli, kiedy fotografował ten samolot wolno sunący nad doliną z zaporą i lasem dźwigów w tle, tymczasem citroen, który stał na hamulcu ręcznym, zaczął się staczać z górki i na nic się zdały krzyki i rozpaczliwe gesty ciotki Zofii, auto pędziło coraz szybciej ku nadrzecznej skarpie i wreszcie osunęło się gwałtownie w nurt Dunajca, czego nie widział zapatrzonego w niebo amator fotografii, dopiero gdy RWD 6 zniknął za linią wzgórz, dziadek odwrócił się i spostrzegł powagę sytuacji: auto pogrążone było w wodzie już do połowy wysokości drzwi, ale to nie była woda stawu, lecz rwącej rzeki, i z każdą sekundą citroen oddalał się od brzegu, podczas gdy przerażona ciotka Zofia raz naciskała klakson, to znowu bezskutecznie usiłowała przeć na drzwi i tylko cudowi zawdzięczała swoje ocalenie, bo kiedy woda sięgała już okienka, a dziadek stojący w niej po pas, ledwie utrzymując równowagę, nie mógł, podobnie jak ciotka, otworzyć tych cholernych drzwi, przednie koło cytryny oparło się na podwodnym głazie i to był moment, w którym nadbiegli robotnicy z zapory i zaciągnęli linę na tylnym zderzaku, i wolno, centymetr po centymetrze, wydzielali auto i ciotkę Zofię nurtowi Dunajca, i byłiby wydarli ostatecznie, gdyby nie pękła lina, ale na szczęście auto było na znacznie już mniejszej głębokości, co pozwoliło wydostać ostatecznie ciotkę z matni i na kilku męskich ramionach przenieść ją prędko na kamienisty brzeg, z którego ocalona i ratownicy patrzyli teraz, jak citroen pogrąża się w nurcie małopolskiej rzeki już na zawsze. — To nie próbowali go wydostać? — spytała panna Ciwle, zapalając skrepta — jaki głęboki może być Dunajec w górnym biegu? — Nie w górnym, lecz środkowym dolnym, poza tym proszę zważyć okoliczność, że w tamtym czasie zaporą była prawie wykończona i właśnie przystąpiono do próbnego spiętrzania wód w Rożnowie, ponadto dziadek Karol w ogóle nie chciał o tym myśleć i kiedy tylko ciotka wyjechała do Borysławia, natychmiast porozumiał się z przedstawicielem citroena na Polskę południową i poinformował go o wadach systemu hamulcowego ze szczególnym uwzględnieniem hamulca ręcznego w samochodach produkowanych przez tę firmę, ale pan Rosset odparł mu uprzejmie, że to, co się wydarzyło,

nie jest wynikiem wad fabrycznych, lecz złej eksploatacji, i było jasne, że to, co spotkało babkę Marię we Lwowie, nie będzie udziałem dziadka Karola w Mościcach, ponieważ citroen sprzedawał już w tym czasie w Polsce o wiele więcej samochodów, miał nową strategię reklamową, a przede wszystkim — podałem pannie Ciwle popielniczkę — czy ocalenie na przejeździe kolejowym może się równać z kamienistą plażą nad Dunajcem, czyż zdjęcie młodej panny automobilistki, la *belle polonaise*, mogłoby się równać z fotografią zażywnego pana inżyniera w średnim wieku? Dlatego na zakończenie rozmowy z panem Rossetem mój dziadek Karol stwierdził sucho, że teraz wybierze raczej austriackiego steyra, raczej czeską tatrę, raczej polskiego albo włoskiego fiata, niżli francuskie auto, bo steyr, tatra, czy nawet polski fiat mają hamulce hydrauliczne, a citroen wciąż obstaje przy archaicznych linkach, co oznacza, że każde koło sobie i nigdy wszystkie tarcze nie zaciskają się z jednaką siłą. — No to czym jeździł potem — panna Ciwle oddała popielniczkę w moje ręce — jaką marką? — To był Mercedes—Benz — odpowiedziałem 170 V, piękne nadwozie, zgniłozielony kolor karoserii.—A więc nie polski fiat? — panna Ciwle śmiała się teraz głośno — za mały był, czy za drogi? — Za drogi jak na tak małe auto — odparłem bez namysłu — zupełnie jak to pani cacko. — A pan czym będzie jeździć po egzaminie? — Autobusem, z czasem dorobię się roweru, a potem to już tylko lotnia. — Więc po co panu prawo jazdy? — Właśnie — wskazałem ruchem głowy na lusterko, w którym kilometrowy korek za nami odbijał się jak długi wąż — chyba tylko po to, żeby móc medytować, na przykład, co oznacza to dziwne zdanie Konfucjusza, że jeśli obyczaje i muzyka nie rozkwitają, kary i grzywny nie są sprawiedliwe. — Ależ pan nawija — zaśmiała się głośno — to już nie można prościej powiedzieć o mandatach? — Kochany panie Bohumilu, nawet nie wyobraża pan sobie, jakie mnie w tym momencie opanowało wzruszenie, omalże nie spuściłem ze sprzęgła tego małego fiata panny Ciwle, omal nie wyrznęliśmy w wydechową rurę tej cholerniej ciężarówki, która, choć stojąc, nadal wypuszczała nam prosto w nos straszliwą chmurę gęstych spalin, a wszystko dlatego, że panna Ciwle, wypowiadając to właśnie zdanie pytające, zaraz dodała następne, spoglądając przy tym na zegarek — no to się urywamy do mnie — i niemal natychmiast zaczęła przesiadać się na miejsce kierowcy ponad moimi kolanami, a ja, pod jej pupą, tak samo jak za pierwszym razem, musiałem się przesunąć na miejsce instruktora i wreszcie, kiedy już nastąpiło to przegrupowanie, panna Ciwle cofnęła fiata o kilkanaście centymetrów niemal pod zderzak stojącego za nami trabanta, wrzuciła jedynekę, skrzyła kierownicę maksymalnie w prawo i wolno, wolniuteńko wyprowadziła nas z potrzasku, wjechała fiatem na chodnik, delikatnie przepuszczając pieszych, po czym przeskoczyła z tego chodnika na trawnik i tutaj dała ostro gazu, a kiedy tym sposobem ominęliśmy ciężarówkę, zwolniła i znów przecięła chodnik, wskakując z powrotem na jezdnię i to był nie tylko mistrzowski manewr, kochany panie Bohumilu, o czym przekonałem się za moment, spoglądając w lusterko, to było prawdziwe wybawienie, bo ciężarówka — jak się okazało — miała nie tylko zepsuty silnik i skrzynię biegów, ale też hamulce, i dosłownie w chwilę po tym, jak wyskoczyliśmy z korka, zaczęła bezwładnie toczyć się w dół i zgmiotła dziób trabantowi, trabant przypląszczył przód garbusa, garbus toyoty, toyota opla i tak oto, niczym pchnięte niewidzialnym palcem klocki domina lub bilardowe kule, samochody pukały jeden w drugi i ten liniowy ruch jednostajny zdawał się nie mieć końca, zupełnie tak jak to opisał Izaak Newton już bardzo dawno temu, no a tymczasem panna Ciwle mocno docisnęła gazu i zaraz na pierwszym skrzyżowaniu skrzyła w prawo, jechaliśmy teraz szybko wzdłuż napoleońskich fortów i widziałem, że moja instruktorka jest coraz bardziej zdenerwowana, co chwila spoglądała na zegarek i szybkościomierz, jakbyśmy zaliczali odcinek specjalny rajdu Paryż—Dakar, a kiedy skrzyliśmy po chwili w ogródki działkowe na wzgórzach, jechała jeszcze szybciej, jej mały fiat podskakiwał na wybojach bitej drogi jak piłka, a ja zastanawiałem się nad tym pośpiechem, bo przecież mógł oznaczać bardzo różne rzeczy, lecz żadne z moich przypuszczeń się nie sprawdziło, kochany panie Bohumilu, bo kiedy

dosłownie wpadliśmy do niewielkiego ogródka otaczającego drewnianą szopę z przybudówką, panna Ciwle powiedziała niech pan zaczeka tutaj, ja muszę zrobić zastrzyk bratu — i kiedy po kilku minutach oczekiwania ujrzałem ją, jak wychodzi z szopy, pchając przed sobą inwalidzki wózek, na którym siedział młody, uśmiechnięty chłopak, kiedy nas sobie przedstawiała, od razu zrozumiałem, że ta drewniana szopa z przybudówką to jest ich stałe mieszkanie i że na pewno nie mają innego. — Zapraszam na kawę — powiedziała — ale nie do środka, bo się pan przerazi bajzłem, no a Jarek — wskazała na brata — strasznie chciałby posłuchać tych pana historii o starych samochodach; jak mu powiedziałam o cytrynie i przejeździe kolejowym, to omal nie wstał z wózka, on wszystko rozumie, chociaż jak chce coś powiedzieć, to mu wychodzi tylko — uuuu — aaa — ja zaraz wracam, no, chyba że się panu bardzo spieszy, to zwiozę pana najpierw na przystanek, nie ma sprawy, wszystko się dzisiaj spóźnia przez tę cholerną ciężarówkę. — Po chwili wróciła z szopy, niosąc na tacy kawę w dzbanku, dwie filiżanki, herbatniki i talerz mlecznej zupy. — A ten Mercedes — zapytała — czy miał hamulce lepsze od cytryny? — Kochany panie Bohumilu, co tu ukrywać, byłem speszony tą niecodzienną sytuacją: panna Ciwle karmiła Jarka stołową łyżką, którą co pewien czas odkładała, żeby upić łyk kawy ze swojej filiżanki, a ja rozglądałem się dookoła, patrząc, jak za drzewami działkowych ogródków i zdziczałego cmentarza ceglane wieże hanzeatyckich kościołów tworzą w wiosennym powietrzu niewiarygodnie piękny wzór. — Hamulce miał dobre — odpowiedziałem wreszcie — ale niech pani sobie wyobrazi, jak skomplikowana była w tamtych czasach obsługa samochodu — no jak, co znowu — zachnęła się prędko — przecież już wtedy zlikwidowano chyba manetkę międzybiegu i tak jak dzisiaj miał pan hamulec, sprzęgło, gaz — zgadza się — odparłem, maczając kawałek herbatnika w kawie — ale dziś pierwszy przegląd należy zrobić po piętnastu tysiącach kilometrów, a wtedy kierowca dosłownie nie rozstawał się z instrukcją, chyba że od razu zapisał sobie wszystko w kalendarzu, na przykład — wyliczałem od początku — w modelu tamtej sto siedemdziesiątki należało co pięćset kilometrów sprawdzać napięcie paska napędu wentylatora, następnie poziom oleju i płynu chłodniczego, a wreszcie hamowanie wszystkich kół, a co tysiąc pięćset kilometrów wymienić olej w silniku, wyczyścić siatki filtra powietrza, przesmarować dźwignie sprzęgła, hamulca, gazu i rozrusznika, uzupełnić olej w zbiorniku centralnego smarowania, a co cztery i pół tysiąca kilometrów zdjąć i wyczyścić filtr paliwa, sprawdzić ciągła przepustnicy gaźnika i ssania, sprawdzić luzy w zaworach silnika, a co siedem i pół tysiąca kilometrów wymienić olej w skrzyni biegów, wymienić filtr oleju, napęlnić smarem osłony łożysk przednich kół, a co piętnaście tysięcy kilometrów przepłukać układ chłodzenia, przesmarować przednie resory oraz ustawić szczęki hamulcowe z odpowiednim luzem, nie mówiąc o tym, że po stu tysiącach cylindry nadawały się do szlifu. — Dość — powiedziała panna Ciwle odkładając łyżkę i talerz na blat stolika, czemu towarzyszyło pomrukiwanie Jarka — on chce jeszcze posłuchać — odwróciła się do mnie — ale nie będziemy pana męczyć, już po zastrzyku i karmieniu, zaraz zjedziemy na dół, do przystanku — nie, proszę zostać — powiedziałem — to nie jest tak daleko, pójdę sam — zapłacił pan za godzinę jazdy — stanowczo zaoponowała musimy skończyć lekcję, tylko ustawię brata do czytania i zaraz pojedziemy — to może przedłużymy następną jazdę — nie chciałem wcale siadać za kierownicę — o tych dwadzieścia minut, a dzisiaj jednak pójdę — dobrze, to zejdę z panem ten kawałek do sklepu — dała za wygraną — tylko mu przygotuję książkę. — I, kochany panie Bohumilu, po kilku minutach maszerowaliśmy z panną Ciwle działkową alejką pomiędzy ogródkami w dół wzgórza, hanzeatyckie wieże kościołów stawały się coraz mniejsze, aż znikły nam z oczu, ale nie o nich myślałem, schodząc coraz niżej wzdłuż cmentarnego płotu i kolejnych szop i domków, które, jak wskazywały telewizyjne anteny, blaszane kominy, kurniki i komórki, wcale nie były letnimi altankami, tylko po prostu mieszkaniami, więc nie o wieżach kościołów Głównego i Starego Miasta rozmyślałem, tylko o ludziach, którym zimą musiały tu zamarzać krany z wodą, dymić piecyki, przeciekać dachy

i przepalać się korki, ludziach, którzy mieszkali tutaj wśród drzew i zieleni jak na dachu naszego miasta, choć wcale nie byli olimpijczykami. Co tak pan zamilkł? — spytała panna Ciwle — piechur nie ma nic do powiedzenia? — skądże — wzruszyłem ramionami — ale wolałbym teraz słuchać, zamiast mówić — zamurowało pana stwierdziła rzeczowo — takich osiedli nie pokazują w naszej telewizji, zresztą co mielibyśmy reklamować, może powietrze, ale na razie jeszcze go nie sprzedają — uśmiechnęła się do siebie — a kiedy zaczną, to wybudują tutaj domy dla ludzi z forszą. — I to był, panie Bohumilu, koniec naszej przechadzki i rozmowy, panna Ciwle weszła do sklepu, a ja maszerowałem dalej, aż do Powstańców Warszawy, gdzie strażacy rozcinali teraz kilka zakleszczonych ze sobą samochodów, tworząc jeszcze większy niż poprzednio korek i powiem panu, że było to piękne, te snopy iskiek lecące spod wirujących tarcz jak warkocze gwiazdozbioru Bereniki, do tego stopnia piękne, że zwolniłem i wbrew moim zasadom wmieszałem się w gęsty tłum gapiów, który aż postękiwał z zachwytu, ilekroć nadjeżdżała karetka po kolejnego kierowcę wydobytego z tej blaszanej gęstwiny, i nie mogłem dojść do siebie, nie mogłem się uspokoić, lecz nie ze względu na biedaków kładzionych na nosze i wywożonych do szpitali, lecz tamten widok, który ujrzałem z ogródka panny Ciwle przez okno ich drewnianej szopy: oto ustawiła wózek swojego brata blisko szyby i na podstawce podobnej do takich, jakie mają muzycy do rozkładania nut, rozłożyła dokładnie na wysokości jego oczu książkę i zaraz po tej instalacji zawiesiła na szyi Jarka coś w rodzaju obroży ze zwisającą na sprężynie łapą, i to było zupełnie niesamowite zobaczyć, jak ten jej kaleki bliźniak podrzuca nieco głowę i chwytą w usta metalową łapę, i tym przyrządem swobodnie przewraca teraz karty książki tam i z powrotem, szukając strony, na której przerwał ostatni raz lekturę, było niezwykle patrzeć, jak zastanawia się przez moment — czytałem już tu czy nie? i jak przesuwając wskazówką kartki pana opowiadań, kochany panie Bohumilu, aż wreszcie znajduje ten właściwy fragment, wypuszcza z ust wskazówkę i zaczyna lekturę z szerokim na całą twarz uśmiechem, podczas gdy panna Ciwle szykuje się do wyjścia, poprawiając przed zawieszonym na ścianie lustrem dyskretny makijaż, no bo przecież — jak już panu napisałem — miała zejść ze mną na dół, aż do sklepiku u podnóża kolonii działkowych ogródków. Tak, było to niezwykle, ujrzeć przez moment intymną chwilę ich życia, zapewne powtarzalna i dla nich zwyczajną, i niezwykle odstąpić od okna, kiedy panna Ciwle kończyła już makijaż, odstąpić po to tylko chyba, aby niechcący zdeptać mały krzaczek zielonej roślinki, rozczapirzonego chabazja skrytego pomiędzy powojem i agrestem, no i tak, cofnąwszy się w kontuzji, dostrzec podobne chabazie zmyślnie posadzone w miejscach dobrze nasłonecznionych, lecz jeszcze lepiej ukrytych przed spojrzzeniami z sąsiednich działek, w zagajnikach porzeczek, na maleńkich polankach pomiędzy rozpuszczonymi chwastami, także wśród kęp mieczyków i piwonii; słowem, by dostrzec tę plantację świętego ziela, które przywędrowało do nas z Indii i które jest prześladowane zupełnie tak, jak niegdyś prześladowany był Dionizos w Grecji. Strażacy właśnie kończyli rozkrawanie ostatniego samochodu, uwalniając tym razem nieposzkodowanego kierowcę, tłum gapiów przyglądał się temu z rezygnacją i rozczarowaniem, a ja ruszyłem dalej, do przystanku, żeby pojechać na Ujeścisko, żeby natychmiast skoro tylko wrócę do domu, odnaleźć te dwa albo trzy zdjęcia z przeszłości, tę jedyną rzecz, jaka została mi po dziadkach, i żeby przy następnej lekcji pokazać pannie Ciwle cytrynę babki Marii i Mercedesa dziadka Karola, a właściwie nie tyle jej, co Jarkowi, którego te fotografie mogły naprawdę zainteresować, a może i ucieszyć. Próżno jednak szukałem tych zdjęć, nie było ich nigdzie, prawdopodobnie, jak mogłem przypuszczać, zaginęły gdzieś w czasie przeprowadzki, kiedy przenosiliśmy się z Anulą na Ujeścisko z ulicy Chrzanowskiego, prawdopodobnie powędrowały na śmietnik w jednym ze stosów makulatury wśród starych gazet, listów i rachunków, prawdopodobnie, jak myślałem, mogłem już tylko o nich opowiedzieć pannie Ciwle podczas następnej jazdy i było mi czegoś żal, i czułem się naprawdę wydziedziczony, cóż bowiem znaczy utrata domu czy majątku wobec utraty

ostatnich pamiątkowych fotografii, szedłem więc na tę następną jazdę mocno zasepiony, z postanowieniem, że już ani słowa nie opowiem mojej instruktorce o dawnych sprawach automobilowych, ani słowa, choćby szeptem, skoro zgubiłem te fotografie, i nagle poczułem się jak człowiek okradziony dosłownie ze wszystkiego, ale, kochany panie Bohumilu, los zrobił mi kolejną niespodziankę, bo kiedy wysiadłem już z autobusu przy Kartuskiej i szedłem maleńką uliczką Sowińskiego pod górę, kiedy w myślach układałem sobie to pierwsze zdanie, które powiem tego dnia pannie Ciwle — proszę wybaczyć, ale na skutek utraty kilku rodzinnych fotografii jestem w stanie radykalnej melancholii i dlatego proszę, żeby mnie pani o nic nie pytała, ani słowa, ani sylaby, ani mru mru...! — więc kiedy tak przygotowany znalazłem się przed firmą Corrado, z małego fiata instruktora Szkaradka wychyliła się jego przedwcześnie osiwiiała głowa i usłyszałem — to pan niby jest ten pisarz? Proszę do mnie, Ciwle musiała wziąć dzisiaj wolne, no, zobaczymy jakie są efekty tego babskiego nauczania. Kochany panie Bohumilu, poczułem wówczas, jak podczas pierwszej lekcji, że życie znowu zatoczyło pętlę i że powracam nagle do znajomego punktu. — No jak się pan zabiera do wsiadania, od razu widać, że dupa, nie oficer — grzmiał instruktor Szkaradek, kiedy się zaplątałem w zbyt luźny i zbyt długi pas — a jedną ręką to se pan możesz kury macać — pomógł mi zapiąć klamrę — no jazda, tu nie politechnika, tu trzeba myśleć — prawie wrzeszczał na mnie, gdy przy pierwszym odpaleniu zgasł rozrusznik — panie pisarzu — rechotał bardzo zadowolony z siebie — na kierowcę to trzeba być chłopem z jajami, a nie gumą od majtek, i to w dodatku damskich, co, nie rozprawczyła pana nasza Iron Lady, nasza piczka–zasadniczka, nasza lalunia w tyłek szturchana za kierownicą? — Nie warknąłem rozeźlony — niech się pan zamknie, Szkaradek, bo mnie zupełnie nie obchodzą pana poglądy estetyczne, a jak mi na nerwy wejdiesz, to brykę rozpieprzę na pierwszym skrzyżowaniu — i sam się sobie dziwiłem, kochany panie Bohumilu, skąd u mnie mowa taka i rezon taki się pojawił, skąd nagle takie uskrzydłone i bezbrzeżne chamstwo, no ale to był błąd, za który słono przyszło mi zapłacić, bo ten Szkaradek, proszę to sobie tylko wyobrazić, ta nędzna szumowina, skoro tylko raz usłyszała taką mowę, natychmiast wzięła mnie za swego, no i miałem za swoje, jak się to po polsku mówi; tak panie Bohumilu, to była moja prawdziwa powtórka z wojska, moje deja vu, moja sentymentalna podróż do źródeł uniwersyteckiego czasu, bo jadąc teraz małym fiatem z instruktorem Szkaradkiem, który co chwila mnie poklepywał po ramieniu i wrzeszczał do ucha wszystkie dowcipy o dupie Maryny, przypominałem sobie zamglone poranki, kiedy maszerowałem przez zaspany Wrzeszcz ulicą Lelewela do Studium Wojskowego i stawałem w szeregu na baczność, a potem maszerowałem do sali wykładowej, gdzie major Sumiwaś tłumaczył nam zgubne skutki noszenia długich włosów dla obronności kraju, gdzie porucznik Cacko reagował na atak atomowy, gdzie pułkownik Wideyko rozjaśniał tajniki doktryny Lenina i Breżniewa i wszyscy mówili tak mniej więcej jak instruktor Szkaradek, tak samo wybuchali śmiechem po własnych dowcipach, tak samo mrugali do nas porozumiewawczo, gdy tylko w ich dygresji pojawiał się jeden z dwóch nieśmiertelnie obocznych tematów, a mianowicie chłanie lub dupczenie, tak samo chcieli trzymać z nami sztamę, choć z drugiej strony i tak naprawdę pogardzali wszystkim, co im pachniało choćby na odległość humanistycznym fakultetem. — Tu kiedyś pracowałem — instruktor Szkaradek przerwał moje wojskowe zamyślenie i wskazał na nieczynny o tej porze neon baru „Lida” — tu kiedyś była forsa, co chwila frajerzy wrywali dziewczynę, no i trzeba im było jechać na chatę, do taniego motelu, na tych parę numerków, no to jeździłem, a teraz, jak ten skurwiel dobudował piętro, jak ma te pokoje na godziny, no to nie potrzebują już transportu, no i czy pan wie, musiałem sprzedać taksówkę i teraz męczę się tym głównym z takimi jak pan, no ale pan podobno pisarz — instruktor Szkaradek zaśmiał się na cały głos — to pewnie pan tu bywasz często, no bo czy może być jakiś lepszy temat niż taka kurwa, co nawija o swoim nieszczęśliwym życiu, o, ja to bym miał co opowiadać, gdyby pan znał jakiegoś reżysera, to mógłbym wyrwać całkiem niezłą kasę; na

przykład taka Viola, to była najpierw zwykła lampucera w porcie, potem się wyrobiła w Monopolu, a jak zjawiała się na parkiecie w „Lidzie”, to był Hollywood przy Kartuskiej, ale czy pan ma pojęcie, że zakochała się w pedale i to aż tak, że załatwiła sobie operację i stała się chłopakiem, no i na taką okoliczność ciągnie już jemu druta nie jako Viola, ale Walenty, bo takie imię kazała sobie wpisać do dowodu, a ten jej goguś jest kelnerem, kiedy go wywalili z „Lidy”, to przeszedł do „Cristalu”, pan sobie wyobraża, żeby z miłości zmienić płeć, no ja pierdykam, to są dopiero rzeczy, o których trzeba pisać, a nie jak wszyscy dzisiaj o komunie, komuna wcale zła nie była, tylko się ludzie rozpuścili i powiem panu, że to jest najgorzej, jak się nie trzyma ich za pysk, bo to jest teraz burdel, a nie żadna wolność, no weźmy samochody: tyle ich teraz nakupili, że nie ma jak przejechać i jeden wielki korek od rana do wieczora, a gdyby tak wróciły przydziały, byłoby tyle gablot, ile pomieszczą drogi. — Milczałem, kochany panie Bohumilu, wtedy, na światłach koło baru „Lida”, potem na placu manewrowym, wreszcie z powrotem na Kartuskiej, skąd całkiem już płynnie skręciłem prosto w uliczkę Sowińskiego pod firmę Corrado, milczałem także następnego dnia, gdy panny Ciwle znów nie było w pracy, i znów musiałem zasiąść za kierownicą samochodu instruktora Szkaradka, milczałem także wówczas, gdy po tej jeździe wspinałem się na wzgórze rozpostarte nad miastem jak biblijny płaszcz Eliasza podbity wzorem małych domków i szachownic działkowych ogrodów, w których kwitły już bzy i macierzanka, w których porośnięte mchem stare wanny czekały na deszczówkę, w których pokrzykiwały dzieci i wraz z pobrzękiwaniem garnków snuły się obiadowe wonie i leniwe, popołudniowe gdakania kur, milczałem, podchodząc do okna drewnianej szopy panny Ciwle i jej brata Jarka, w której nie było nikogo, więc w takim samym milczeniu napisałem karteczkę i zatknąłem ją w drzwiach — proszę do mnie zadzwonić, jestem w szponach instruktora Szkaradka — i w jeszcze większym milczeniu schodziłem wzdłuż starego cmentarza w dół, do miasta, nad którym chmura spalin przysłaniała teraz słońce i ceglany gotyk hanzeatyckich kościołów. Tak, panie Bohumilu, istotnie byłem zakładnikiem instruktora Szkaradka i żalowałem, że w ogóle zapisałem się na ten kurs, bo chociaż zmiana nauczyciela na własne żądanie była możliwa, to jednak zawsze oznaczała oblanie końcowego egzaminu co najmniej trzykrotnie, a w rezultacie konieczność powtarzania kursu, więc zaciskałem zęby i zupełnie jak na zajęciach Studium Wojskowego udawałem najwyższe zainteresowanie, jak wąż łudząc despotę, i za każdym razem, kiedy instruktor Szkaradek opowiadał dowcip, wybuchałem śmiechem, za każdym razem, kiedy przytaczał anegdotę, wyłączałem uwagę i skupiałem się na prowadzeniu samochodu, co szło mi zresztą coraz lepiej i dodam jeszcze tylko, że nawet efekt zwany efektem postzajęciowym Dowżenki—Downa był taki sam, jak po ośmiu godzinach musztry na naszym uniwersyteckim wojsku, a mianowicie, konieczność zamoczenia dzioba. — Ach, gdybyśmy wtedy, kochany panie Bohumilu, choć raz widzieli te pańskie ulubione piwiarnie, gdybyśmy zamiast gdańskich szczyn mogli wtedy popijać schłodzonego branika albo wielkopopowicki kozel, albo staropramen, albo zwykłego pilsnera, być może wyroslibyśmy na zupełnie innych ludzi, a tak, każdego czwartku po Studium Wojskowym, kiedy musieliśmy zmyć z siebie te osiem godzin idiotyzmu, ruszaliśmy w obchód, zaczynając od „Jurka” na rogu Danusi, potem przenosiliśmy się do „Szewców” przy Lendziona, następnie wędrowaliśmy do „Agaty” przy Grunwaldzkiej, by dorżnąć się u „Katolika” przy Hubnera, a jeśli ktoś tego przez roztargnienie nie dokonał, to pozostawał jeszcze „Lońka” przy torach kolejowych albo „Liliput” naprzeciwko kina „Znicz” jako ostatni już krag piekieł i wszystkie te mordownie, wszystkie te rykowiska, wszystkie te ścieki pozakładane za Bieruta, rozkwitające za Gomułki i zdychające za dojrzałego Gierka, wszystkie te nasze stacje męki wspominałem teraz za kierownicą małego fiata instruktora Szkaradka i z każdą minutą przychodziła mi oskoma coraz większa na tamten smak i zapach piwa, które choć liche i na dodatek chrzczone wodą, miało gdzieś w sobie niezaprzeczalnie dionizyjski blask i był to blask młodości raz jeden tylko w życiu darowany. Tak właśnie było, kochany panie

Bohumilu, skoro tylko po godzinnej jeździe uwalniałem się z rąk instruktora Szkaradka, natychmiast musiałem się napić, dlatego prosiłem go, żeby wyrzucił mnie najlepiej gdzieś na Głównym Mieście, bo przy Kartuskiej otwarto wprawdzie kilka nocnych sklepów, za to ani jednego baru, więc jeśli spełniał moją prośbę, szedłem od razu do „Istry”, potem do baru „Starówka” koło rowerowego sklepu, a potem do „Cottonu”, który otwierano dopiero o szesnastej i za każdym razem żądałem innego gatunku piwa i sprawdzałem, niemal jak pański ojczym Francin, czy szklanka jest absolutnie czysta, czy piwo ma należytą temperaturę, czy piana nie jest zbyt rzadka, i po kilku takich próbach byłem absolutnie zniesmaczony i popadałem w radykalną melancholię, bo wszystko było w najlepszym porządku, w idealnej harmonii, aseptyczne i przepisowe, i chociaż powinienem się z tego cieszyć, no bo w końcu, czy może być większa przyjemność niż, dajmy na to, próbowanie koniuszkiem języka pierwszego łyku heweliusza, a potem żywca, a potem guinnessa, czy może być większa przyjemność niż porównywanie, ile i jakiego słodu użyto w każdym z tych gatunków, na jakiej glebie wzrastał jęczmień, ile dni słońca miał zeszlóroczny chmiel; ponieważ zatem większej przyjemności być nie może, a jeśli mimo niej popadałem w radykalną melancholię, przyczyna była oczywista: po raz kolejny odczułem, kochany panie Bohumilu, że wszystko w moim życiu przyszło za późno, poniewczasie, a więc niejako niepotrzebnie i bez sensu, ale zaraz przypominałem sobie tę pańską pracę w hucie albo pisarza w likwidacji, albo wesela na Libni i jakoś mi przechodziło, jakoś splukiwałem w końcu z siebie tę melancholię oraz zapach zepsutych dziąseł i przepoconych koszulek polo instruktora Szkaradka i, siedząc tak na przedprożu baru „Istra”, skąd podziwiałem bramy Arsenału i tłumy niemieckich emerytów, albo patrząc na bilardowy stół w „Cottonie”, przypominałem sobie, jak u „Jurka” przy Danusi poeta Atanazy pożyczal od miejscowego karła akordeon i grał ukraińskie dumki i białoruskie czastuszki, i zaraz, niemal natychmiast, szare od machorki powietrze robiło się błękitne, a na ulicy przystawali ludzie i w zachwyceniu spoglądali przez łukowate, mauretańskie okienka do smolistego wnętrza baru, tymczasem Atanazy, któremu za tę grę bywalcy polewali wódkę w kufel piwa, rozkręcał się i ciągnął już z cygańska — *oj ljubiat ljubiat koni* — albo *kiedy znowu przyjdzie bieda* — i w ten sposób podkreślał atmosferę, i wszystko było już gotowe do zagrania tych kilku legionowych pieśni śpiewanych po chwili na całe gardło przez rozmarzony tłum pijaków, i w ten sposób wszyscy na tych kilka minut stawali się rodziną, padali sobie w objęcia, poklepywali się po plecach, pokrzykiwali — następnego roku w wolnej Polsce! — i ocierali łzy, aż wreszcie przestraszony Jurek dawał znak ręką, że już dosyć, no i wychodziliśmy na ulicę, niosąc Atanazego na rękach, podczas gdy on recytował na całe gardło wersety Mickiewicza tak pięknie i tak głośno, że otwierały się okna i secesyjne drzwi balkonów i obsypywano nas kwiatami, więc Atanazy *da capo* zaczynał recytować *Powrót taty* i tak mniej więcej, przy dwudziestym drugim powrocie tego słynnego ojca, trafialiśmy do „Szewców” przy Lendziona, gdzie Atanazy zasypiał ze zmęczenia najczęściej już po pierwszej lufie, a my podpuszczaliśmy ex—generała Niedojadłę, który nie miał mieszkania i przesiadywał u „Szewców” od otwarcia do zamknięcia, żeby nam jeszcze raz opowiedział, jak to było z tym desantem na DDR, i z rozkoszą słuchaliśmy, jak nasza gdańska dywizja morsko—desantowa zamiast lądować na Wolinie, w ramach manewrów „Tarcza”, przesunęła się nieco na zachód i o piątej minut czterdzieści trzy rozpoczęła ostrzał i lądowanie na brzegu DDR, co wywołało popłoch nie tylko wśród kombajnistów Spółdzielni Rolniczej imienia Liebknechta, którzy akurat o tej porze jechali wzdłuż bałtyckiego brzegu na pobliskie pola rzepaku, ale też w sztabach Układu Warszawskiego między Berlinem, Moskwą a Warszawą — co wy tam, bliachamucha, Polaczki rozrabiacie — wrzeszczał w słuchawkę Nikita Siergiejewicz Chruszczow. — Ależ towarzyszu — wyrwany ze snu Wiesław Gomułka z trudem znajdował okulary, bez których w ogóle nie potrafił mówić — towarzyszu Nikito Siergiejewiczu, przecież chcieliście kukurydzę, no to we wszystkich naszych pegeerach siejemy teraz tylko kukurydzę i nawet

liczni rolnicy indywidualni zaczynają zasiewy — ja wam, bliachamucha, dam indywidualną kukurydzę — przerywał rozwścieczony Nikita Siergiejewicz — ja wam przypominam pakt Ribbentrop–Mołotow, co wyście ze sputnika spadli, żeby na DDR napadać, i to o piątej czterdzieści pięć rano! — i ex–generał Niedojadło z godnością opowiadał, jak go degradowano i jak prokurator zażądał kary śmierci i to nawet nie za ten niefortunnie, z powodu tęgiej libacji, wysadzony na DDR–owskiej ziemi desant, ale za pyskowanie przed sądem wojskowym, gdzie generał Niedojadło stwierdził rzeczowo, że to wcale nie był błąd, ale jego, polskiego generała, odpowiedź na salwy pancernika Schleswig–Holstein, który ostrzałem Westerplatte w naszym mieście przerwał mu dzieciństwo i zabrał siedemnastu krewnych rozstrzelanych w Piaśnicy, Stutthofie i Oświęcimiu. Tak więc, kochany panie Bohumilu, kiedy opowieść ex–generała po raz kolejny dobiegała końca, braliśmy poetę Atanazego z krzeselka pod ścianą i zwiniętego jak dywan nieśliśmy do „Agaty”, gdzie dochodził do siebie, słuchając, jak pan Zakiewicz opowiada o swojej ciotuleńce wygnanej przez bolszewików z Wilna i osiadłej w Sycowej Hucie na Kaszubach, kobiecie tak uroczej i pełnej magicznego czaru, że nawet świnię, kaczki, kury i psy w jej obejściu przestawiały rozumieć po kaszubsku i przestawiały się na jej zaśpiewną, pełną ciepła, blasku i archaicznej szlachetności kresową polszczyznę, słowem kobietę tak delikatną i uroczą, że obecny przy stoliku pana Zakiewicza Ryszard Stryjec natychmiast brał serwetkę i kilkoma kreskami rysował portret ciotuleńki, i było to coś nadzwyczajnego patrzeć, jak ten malarz szkicuje po prostu święta ikonę bizantyńską, która jest równocześnie zwykłą kobietą na kaszubskim podwórku i Madonną w stylu Caravaggia; i kiedy przypominam sobie te sceny z baru „Agata”, w którym nasz poeta Atanazy dochodził do siebie pod wpływem konwersacji tych dwóch rozbitków z Atlantydy, to myślę sobie, kochany panie Bohumilu, że nigdy i nigdzie nie zobaczyłbym czegoś równie zachwycającego, tych kilku prostych kresek, które czyniły na małej serwetce syntezę Wschodu i Zachodu czymś naturalnym, możliwym i równocześnie pięknym; ale już trzeba było iść dalej, do „Katolika”, gdzie schodzili się wszyscy inni rozbitkowie z wojska: poeta Pitek piszący wiersze wyłącznie o krwi miesięcznej swoich kolejnych narzeczonych, zamknięty w sobie poeta Salim tworzący wyłącznie w sanskrycie, poeta von Bock od wierszy matematycznych, a także długodystansowy nudziarz epicki, niejaki Tempy z Tempcza, który swoją genealogię wiódł od kaszubskiej szlachty, co zresztą nie robiło na nas żadnego wrażenia, bo wiedzieliśmy doskonale, kochany panie Bohumilu, że tak jak cała szlachta czeska zginęła w bitwie pod Białą Górą, tak samo szlachta kaszubska wykrwawiła się w bitwie pod Wiedniem, pobiwszy wszakże Turków pod najszcześniejszą gwiazdą króla Jana Sobieskiego; więc o tym też gawędziliśmy sobie swobodnie u „Katolika”, o tym, dlaczego czternastoletni Gliner Grass, który biegał po tych samych co my ulicach Wrzeszcza, nigdy nie napisał swojej pierwszej wielkiej powieści historycznej o bohaterskich Kaszubach, bo skoro większość z nich poległa dawno temu pod Wiedniem, no to o czym, albo raczej o kim miałby pisać debiutant Gunter z Labesweg 13, zwanej dzisiaj ulicą Lelewela, niby w jaki sposób miałby ze schłopiałego w tak tragiczny sposób ludu wykrzesać samurajską iskrę szalu bojowego, no ale te pogwarki kończyły się u „Katolika” prędko, bo orzeźwiony i wypoczęty poeta Atanazy chuchał ostentacyjnie w swoją dłoń, podwijał mankiet i ukazując żyłastą konsystencję przedramienia, wyzywał przeciwnika: raz był to zaopatrzeniowiec z Huty Katowice, raz treser z Cyrku „Arena”, innym znów razem marynarz z fińskiego frachtowca i zawsze przyjmowaliśmy zakłady, i nigdy na tym nie straciliśmy, bo Atanazy mimo wszystko wyglądał na chudzinę i ci, którzy do „Katolika” wpadali po raz pierwszy, zazwyczaj obstawiali dziesięć do jednego przeciwko niemu, ci zaś, którzy znali jego metodę, mieli nadzieję ujrzeć go po raz pierwszy pokonanym, lecz Atanazy był niezawodny i nigdy nie przegrywał, a to dlatego, że w fazie szczytowania, gdy zakleszczone dłonie zastygały nad blatem stolika jak sierp i młot i wszystko jeszcze się ważyło, Atanazy zaczynał swoim potężnym, metalicznym głosem recytować Fenicjanin Flebas, martwy od

dwu niedziel — po czym przerywał na moment i mówił dalej, utkwivszy wzrok w przeciwniku — Zapomniał krzyku mew i morza przyplływów. Zysków i strat. Głębinowy prąd obgryzał jego kości szepcząc... — i już w tym momencie osiągał przewagę, choć nie zawsze druzgocącą, to jednak przewagę, bo chociaż żaden z przeciwników Atanazego nie znał poematu Eliota, to przerażał się wizją truchła jakiegoś tam Fenicjanina z wyzartymi przez sól i węgorze oczami, unoszonego jak napuchnięty i cuchnący balon przez prądy wodne, no a kiedy Atanazy huczał na całe gardło — Niewierny czy Żyd. O ty— który obracasz kotem i spoglądasz w wiatr, Wspomnij Flebasa, był piękny i smukły — jak ty¹ — dłoń przeciwnika miękła i już po chwili opadała na blat stolika, i mogliśmy zgarniać pieniądze z zakładów, przy czym maestrii Atanazego starczało i w takich przypadkach, gdy jego rywal, jak fiński marynarz, nie rozumiał ani słowa po polsku, bo wówczas recytacja odbywała się w języku oryginału, i kończąc się owa zdumiewającą frazą — *Consider Phlebas, who was once handsome and tall as you* — przypięczętowywała zwycięstwo równie gruntownie jak polska fraza poematu. Komu to jednak miałem opowiadać, kochany panie Bohumilu, pani Ewie w „Istrze”? Barmanowi w „Cottonie”? Niemieckim emerytom snującym się wycieczkowym krokiem od Arsenалу po Motławę? Co mogły ich obchodzić nasze wojskowe czwartki, nasze wrzeszczańskie dionizje, nasze zachwyty i upadki, po których nic już nie zostało? Więc coraz głębiej popadałem w radykalną melancholię i po każdej jeździe z instruktorem Szkaradkiem, który dwoił się i troił, żeby zapisać mnie do nowej, trzydziestej z rzędu, partii politycznej, którą nazywał TeraMy, po każdej takiej godzinie szedłem oczyścić swoją duszę i nie było mi lekko nie tylko z powodu ciężaru wspomnień, ale też tęsknoty: o pannie Ciwle powiedziano mi w biurze Corrado, że wzięła urlop bezpłatny, właściwie nie wiadomo na jak długo, i pojechała leczyć brata, gdzie, tego nie wiedziano, albo nie chciano mi powiedzieć, raz jeszcze poszedłem więc na wzgórze, gdzie jej szopa spoczywała w ciszy jak korab zatopiony w czasie i w zieleni; wgniecione oponami fiatka koleiny zaczęły już zarastać trawą, w oknie przybudówki snuły się nowe pajęczyny, deszczówkę w bali pokrywała rzęsa, pod porzeczkami buszowały jeże, a wszędzie wokół zapachem bzu, nawoływaniem drozdów, trylem wilgi eksplodował maj i nawet zasmrodzone spalinami miasto nie mogło zahamować tej ekspansji widomej także w szalonym, jak gdyby gorączkowym rozroście indyjskiego ziała: jego buńczucznie rozczapirzone kity i soczyste lodygi zdawały się pęcznić z minuty na minutę, zdawały się dojrzewać w nienaturalnym i szaleńczym pędzie szybciej niż zawarta w nich od wieków tajemnica, zerwałem więc, kochany panie Bohumilu, kilka świętych lodyg, tych najdojrzszych, aby je oddać pannie Ciwle, kiedy wróci, bo pewnie byłaby niepokieszona taką przedwczesną wegetacją i zmarnowaniem plonu, i szedłem z tymi zielonymi chabaziami najpierw wzdłuż cmentarnego płotu, gdzie spoczywali nieszczęśnicy z pierwszej wojny, i pewnie dlatego pomyślałem znów o dziadku Karolu, ale tym razem nie jako automobiliście, lecz artylerzyście niezwykniętej cesarsko—królewskiej armii Austro—Węgier, który po ataku iperytowym dostał się do lazaretu i leżał tam nieprzytomny kilkanaście godzin, a kiedy się obudził, ujrzał nad sobą bielszy od alpejskiego śniegu kornet zakonnicy i krzyknął — wody, proszę siostry, wody! — na co zakonnica podała mu szklanekę i powiedziała — pan się powinien najpierw wypowiadać — a wtedy dziadek Karol chwycił się za głowę i zrozumiał, że wygląda jak mumia, bo z jego bujnej czupryny nie został ani jeden włos, ponieważ ratujący go sanitariusz zdjął mu gazową maskę razem z włosami, które wypadły wskutek działania gazu, więc chociaż ranny i łysy, dziadek Karol strasznie zapragnął żyć i odpowiedział siostrze — nie zamierzam umierać i dlatego nie będę się spowiadał — więc ta siostra, kochany panie Bohumilu, obraziła się na niego i kiedy wszystkim ciężej rannym podawano morfinę, manewrowała tak, żeby go ominąć, więc cierpiał okropne, niczym nieuśmierzone bóle, ale nie poddał się i nie wypowiadał, i w końcu

¹ Fragment Ziemi jałowej T. S. Eliota Śmierć w wodzie w tłumaczeniu Krzysztofa Boczkowskiego.

odzyskał zdrowie na tyle, żeby wrócić na dalsze leczenie do Lwowa, i nawet odrosły mu włosy, tyle że płomiennorudej barwy, o czym pomyślałem już przy Powstańców Warszawy, kiwając zieloną kitą zielska na samochód, który omal mnie nie rozjechał; pomyślałem, że gdyby wówczas miał w swojej papierošnicy trochę ususzonych listków z ogródka panny Ciwle, byłoby mu znacz nie lżej w tamtym lazarecie i na pewno w nocnej malignie nie śniłby koszmaru okopów, lecz znacznie przyjemniejsze rzeczy, choćby majówki w Żyrawce albo narty w Truskawcu, na jakie jeździli studenci i profesorowie politechniki, więc pewnie te raz, gdyby mnie zobaczył, nie miałby za złe, że wsiadam do autobusu z zielonym pękiem indyjskiego ziela, kasuję bilet i siadam na wolnym miejscu za kierowca, pośród wdów z doniczkami i kwiatami, które jadą jak co dzień odwiedzić swoich mężów na cmentarz łostowski, o tak, widzę jak by się uśmiechnął, gdy jedna ze starsuszek pyta mnie, czy to zielone, co trzymam na kolanach, dobre jest do gruntu na żywopłot, czy może na rozsądę do inspektu, bo chociaż dziadek Karol nigdy nie był anarchista, nie lubił przecież urzędników i zakazów, nie lubił głupich polityków i pewnie zdziwiłby się bardzo, że ta faryzejska sekta pozwala i zachęca w naszym kraju o każdej godzinie i w każdym miejscu, nie wyłączając parlamentu, czcić Dionizosa, a prześladowe Sziwę, tak, drogi panie Bohumilu, zupełnie jakby wybór naszych bogów nie należał do nas, jakbyśmy wszyscy czcić musieli tego jednego narzuconego nam satrapę w trzech postaciach: akcyzy, watu, monopolu; więc nagle, w drodze na Ujeścisko, doznałem olśnienia i łuski niczym Szawłowi spadły mi z oczu, gdy ujrzałem ziemię nowa i niebo nowe, i mnie samego obleczonego w szary obłok, no bo przecież natychmiast przypomniałem sobie de Quinceya i jego wizje, więc od razu, kiedy przyjechałem do domu, ułożyłem te zielone chabazie na balkonie w najbardziej nasłonecznionym miejscu, żeby się pięknie ususzyły, żeby je można było następnie pociąć i rozkruszyć, a wreszcie zapalić, i właśnie kiedy zamykałem już drzwi balkonu, zastanawiając się, jak długo trwać będzie ów proces, zadzwonił telefon i usłyszałem w słuchawce pannę Ciwle, która zapytała mnie tym swoim nieco metalicznym głosem, czy nadal jestem w szponach instruktora Szkaradka i czy nie pragnę się z nich wyzwolić, bo ona już wróciła i jest do mojej dyspozycji, tak właśnie powiedziała, kochany panie Bohumilu — jestem do dyspozycji — no więc o mały włos nie wykrzyczałem do słuchawki o tych zielonych chabaziach zerwanych przed jej szopą, które teraz suszyły się na moim balkonie, ale ugryzłem się w język i powiedziałem — natychmiast, czy pani mnie słyszy, natychmiast chcę mieć z panią jazdę! — na co zaśmiała się przewrotnie i odparła — no dobrze, ale to będzie wieczorna lekcja jazdy, co pan na to? — i już byliśmy umówieni za kwadrans dwudziesta na placyku manewrowym, obok nocnego sklepu, gdzie stawilem się punktualnie co do minuty, patrząc na ekstatycznie podrygujące sylwetki meneli; na tle zachodzącego słońca nie przypominali tym razem derwiszów, lecz członków sekty świętego Wita, którzy na widok małego fiatka i wysiadającej zeń instruktorki po prostu osiągnęli zenit mistycznych możliwości, wykrzykując swoje niezrozumiałe zaklęcia, wymachując rękami, upadając na ziemię — no, niezły Sajgon — powiedziała zdegustowana panna Ciwle — nie ma co, spadamy. — Więc spadaliśmy, kochany panie Bohumilu, bardzo prędko, bo na Kartuskiej nie było o tej porze tłoku, a ja prowadziłem chyba już całkiem nie najgorzej — no no no — westchnęła panna Ciwle, gdy z Huciska skręciłem płynnie na Wały Jagiellońskie — widzę, że instruktor Szkaradek nie marnował czasu. — Ten cham — wrzasnałem — wiecznie spocony, nie mówi o pani inaczej niż — wiem, wiem — nie dała mi dokończyć — i co z tego, skoro uczynił pan postępy, proszę, jak teraz zgrabnie wchodzi nam czwórka — i rzeczywiście, panie Bohumilu, te jej słowa po prostu mnie uskrzydliły, lecz nie tylko słowa, bo także muśnięcie jej dłoni, owo dyskretne, jak gdyby od niechcienia, a może rzeczywiście przypadkowe dotknięcie jej delikatnych palców, które podziałało na mnie dosłownie jak tchnienie Świętego Ducha, tajemniczy szum skrzydeł Parakleta, i to do tego stopnia, że pomknąłem koło dworca niemal setką i nie wolniej wskoczyłem na most Błędnika, i jeszcze mocniej przyspieszyłem na

Wielkiej Alei, i jednym skokiem byłem już przy Operze — proszę natychmiast zwolnić — panna Ciwle podniosła brew — bo nie zdążymy nawet porozmawiać; więc ten następny wóz pańskiego dziadka to był Mercedes-Benz — pytała zupełnie tak, jakbyśmy skończyli konwersację zeszłego popołudnia — czy rzeczywiście był lepszy od cytryny? — Dokładnie rzecz ujmując — zwolniłem do sześćdziesiątki — nie następny, lecz następne, bowiem Mercedes jako pierwszy wprowadził wówczas system jednoroczny, który polegał na tym, że po dwunastu miesiącach można było oddać wóz używany i za dopłatą pięciuset złotych wyjechać z ich garaży nowym autem garaży? — zdziwiła się panna Ciwle — tak to się wtedy nazywało — nie dałem sobie przerwać — bo słowo „salon” nie oznaczało wtedy na przykład zakładu fryzjerskiego, sklepu z butami albo pralni, tak jak dzisiaj, w tamtej epoce salon był jeszcze ciągle zastrzeżony dla form rozmowy towarzyskiej, muzykowania, wina, ewentualnie partii brydża; tak więc mój dziadek Karol ciągnąłem — co roku wyjeżdżał z garaży Mercedesa nowym autem, lecz zawsze był to identyczny model, a na dodatek w tym samym, zgniłozielonym kolorze karoserii, i jeśli dziadek tak bardzo upodobał sobie tamtą stosiedemdziesiątkę, to pewnie było tak dlatego, że co roku wygrywał na niej bezapelacyjnie pogoń za lisem — no nie — panna Ciwle wskazała ruchem dłoni, żebym na rondzie przy Kościuszki skręcił w ulicę Słowackiego — teraz to pan zalewa, pogoń za lisem to zabawa konna, jak można gonić na czterech kółkach przez pola i rozłogi za kimś z tą przyczepioną kitą, to się me trzyma kupy, nawet gdyby ten lis posuwał na motorze, tym bardziej jest to niemożliwe, jak już pan musi zmyślać, proszę to robić dobrze, tak żebym tego wcale me poczuła, sprzęgło, redukcja — wydała polecenie — pod górę jedziemy na obniżonym biegu — Jechaliśmy serpentynami w górę moreny na lotnisko, przez uchylone okno wpadał do małego fiata przedmiejski zapach bzu, skoszonych traw i chłodny cień bukowych lasów, melancholijny nawet wiosną — Przykro mi — powiedziałem — lecz nie docenia pani inwencji przedwojennych inżynierów, otóż gdy pierwszy raz w Mościcach rozegrano zawody balonowe, które me były niczym innym, jak tylko krajową eliminacją do Pucharu Gordona Bennetta, gdy zachwyceni ową cudowną feerią kulistych form na niebie inżynierowie zebrali się wieczorem w klubie, któryś z nich rzucił synkretyczne hasło, ideę prawdziwie wagnerowską, by ulubiony przez nich sport automobilowy, któremu oddawali się bez reszty, połączyć odtąd ze sportem balonowym i w ten oto prosty sposób — spojrzałem głęboko w oczy panny Ciwle — narodziła się idea pogoni za lisem w wydaniu całkiem nowym, zgoła rewolucyjnym i demokratycznym, no bo przecież — wyjaśniałem spokojnie — mój dziadek Karol, podobnie jak jego koledzy, mógł na ten przykład być zaproszony przez księcia Sanguszkę na polowanie, albo nawet na bal wiosenny w Gumniskach, ale na konną pogoń za lisem już nie za bardzo, to były bowiem regiony gotajskiego almanachu i bez co najmniej siedmiu pałek w herbie, bez wstęg i buław, i portretów, słowem, bez odpowiednio wysokiego urodzenia nie było się *comme il faut*, więc niemal natychmiast mój dziadek i pan inżynier Krynicki opracowali zasady i regulamin gry, niemal natychmiast zarządzono składkę na wszelkie koszty tych zawodów, a przede wszystkim na ów balon, który miał stać się lisem, i me minęły dwa miesiące, gdy w wiosenny ranek na błoniu za fabryką rozkwitła wielka barwna kula, która pofrunęła w przestworza o godzinie dziewiątej minut dwadzieścia jeden czasu lokalnego, a którą z podczepione) gondoli sterował mistrz aeronautyki, chorąży pułku lotniczego, pan Szuber z Sanoka, więc proszę sobie wyobrazić — znów spojrzałem w oczy panny Ciwle — to podniecenie zgromadzonych automobilistów, gdy pół godziny później dano znak, że mogą już wskakiwać do swoich samochodów, że mogą się rozjechać w poszukiwaniu pędzonej wiatrem kuli, lecz zanim rozkręciły się startery, zanim piloci rozłożyli mapy, najpierw szukano kontaktu wzrokowego przez lornetki, bo przecież trzeba było wiedzieć, w którą to mianowicie stronę poszybował balon, czy jechać za mm na północ do Szczucina, czy wręcz przeciwnie, ku Zbylitowskiej Górze, no więc tak to mnie) więcej wyglądało — kontynuowałem — pan Mierzejewski wskakiwał do swojego ogromnego

packarda, w którym zazwyczaj woził ośmioro dzieci, pan Nartowski zatrząskiwiał drzwiczki swojej hanzy, pan Hennel ruszał z kopyta piękną tatrą, pan Kubiński śrubował już na starcie obroty dwusuwowego DKW, a Jerzy Georgiades, którego wszyscy brali za Ormianina, a który był po prostu Grekiem, ścigał tego balonowego lisa wspaniałą chevroleta, pan Jasilkowski buickiem, natomiast inżynier Hobbler dwudrzwiowym BMW, w przeciwieństwie do inżyniera Wojnarskiego, który za balonem pędził czterodrzwiowym oplem olimpią i, naturalnie, to me byli jeszcze wszyscy, dodać tu trzeba pana Zbigniewa Krystka na opłu kapitanie, pana Żabę na fiacie 504, pana Mrowca w fiacie 1100, pana Krynickiego w steyrze, pana Zachanewicza na starym fordzie, oraz panią Kszyszkowską w adlerze-juniorze, zaś co do Mercedesów — wyjechaliśmy na płaskowyż i mogłem wreszcie zmienić bieg i dodać gazu — to było ich w Mościcach trzy, oprócz dziadka Karola taką samą marką jeździli doktor Świerczewski oraz inżynier Sledziński, z tym że te dwa modele to były stosedemdziesiątki dwudrzwiowe, dziadek natomiast wierny był nieodmiennie wersji czterodrzwiowej, no a poza tym w zawodach startowali także motocykliści na arielach, BMW, zundappach, BSA, victonach, Indianach oraz harleyach davidsonach — no nieźle przerwała tę litanię panna Ciwle — niech pan zawróci przy tej leśnej drodze, bo nie jedziemy na lotnisko, a swoją drogą, przerwać panu, to jest właściwie niemożliwe; no więc, czy rzeczywiście ten Mercedes był najlepszy — spytała, uśmiechając się w ten sposób, że omal nie puściłem kierownicy z dłoni — wie pan, nie tyle chodzi mi o markę, co o ten właśnie model, sam pan mówił, ile wciąż trzeba było przy nim robić, właściwie co pięćset kilometrów — wszystkie tak miały wtedy — przerwałem jej natychmiast — to była kwestia ówczesnej technologii, nie określonej marki, czy modelu, więc ta czterodrzwiowa stosedemdziesiątka przynosiła mojemu dziadkowi w zawodach nieodmiennie szczęście, któremu dopomagała, rzecz jasna, babka Maria jako pilot, i zanim wyruszyli w pogoń za balonem, dziadek przez kilka wieczorów z rzędu słuchał radiowej prognozy pogody, wychodził nocą na dach domu, by obserwować niebo i chmury, a także konfigurację planet, następnie zasiadał w swoim gabinecie nad mapą, kreśląc prawdopodobne trajektorie balonowego lotu przy wszystkich możliwych kierunkach i nasileniach wiatru, a wreszcie wszystko to przeliczał i zapisywał w notesie w postaci tabel i wykresów i pewnie dlatego zawsze udawało mu się wygrać, zawsze zdobywał to trofeum, no bo gdy tylko tuż po starcie namierzali balon, babka Maria spoglądała w tabelę, mówiąc — za trzy kwadransy będzie nad Zakliczynem, droga numer trzynaście, wariant pierwszy, na drugim rozjeździe w lewo na Zgłobice — więc dziadek natychmiast pędził do celu najkrótszą drogą, a jeśli raptownie zmieniły się kierunek albo siła wiatru, zatrzymywał na chwilę samochód, by błyskawicznie ustawić na poboczu skonstruowany przez siebie przyrząd, wiatraczek na rozciąganej tyczce, z którego precyzyjnie odczytane dane babka natychmiast wprowadzała do tabelki, i znów ruszali w pogoń, wyposażeni w nawigacyjną zmienną, która bezbłędnie określała nowe położenie balonu z pomocą całek oraz logarytmów, i zawsze udawało im się przed innymi dopędzić powietrznego lisa, czy było to w Mszanie, Izdebniej czy Wierzchosławicach, no i niech pani sobie wyobrazi — byliśmy już w dole Słowackiego, obok pruskich koszar — ten piękny widok: dziadek Karol zatrzymuje Mercedesa na poboczu bitej drogi i biegnie przez łąkę, aby zgodnie z regulaminem znaleźć się jak najbliżej punktu pod gondolą, następnie wyjmuje trąbkę i gra myśliwskie zawołanie, na dźwięk którego aeronauta chorąży Szuber z Sanoka, zobowiązany jest natychmiast przerwać lot, zamykając gazową maszynkę do podgrzewania powietrza, więc już się widzą, już do siebie machają i chorąży Szuber rzuca w dół kotwiczną linkę z przyczepioną do niej lisią kitą, którą łapie mój dziadek, i za każdym razem to jest najszczęśliwsza chwila w jego życiu, bo już przez łąkę nadbiega babka Maria i ściskają się nawzajem, całują, śpiewają, tańczą, a chorąży Szuber dobywa regulaminową butelkę szampana i trzy kryształowe kieliszki z drewnianej kaszty, po czym piją za zwycięstwo, podczas gdy drogą nadciągają inne samochody i motocykle, i to musiało być rzeczywiście fantastyczne poczucie, wygrać takie

zawody — kończyłem wątek na rondzie przy Grunwaldzkiej i Kościuszki — no bo niech pani zważy, że zgodnie z ich regulaminem triumfował tylko jeden zawodnik i jego pilot, nie mogło być bowiem miejsca drugiego i trzeciego, tak samo jak w pogoni konnej, gdzie jeden tylko jeździec zrywa kitę i zgarnia wszystko, i jest prawdziwym, bo jedynym królem, kiedy na jego cześć wieczorem wszyscy piją w klubie. — A duża była ta nagroda — panna Ciwle dobytek ze swojej srebrnej papierośnicy skręta i przypaliła go samochodową zapalniczką — większa niż ta, którą dostał za staranowanie citroena maszynista Hnatiuk? — Co też pani mówi — zjechałem płynnie na środkowy pas pan Hnatiuk dostał nagrodę nie za zniszczenie czegokolwiek, lecz za promocję lokomotyw z Chrzanowa, o ile sobie przypominam, to było tysiąc pięćset złotych, na owe czasy sporo, zważywszy, że polski fiat kosztował wówczas około pięciu tysięcy, no a do tego złota omega z wygrawerowaną dedykacją: *Bohaterowi PKP — Dyrekcja*, otóż nie, nagroda za zwycięstwo w tych zawodach była czysto honorowa, stanowił ją mosiężny znaczek w kształcie lisa z napisem: *Mościce, pogoń za balonem*, no i do tego data, ponadto zwycięzca stawał w klubie pierwsze trzy kolejki, więc jeśli chodzi o empiryczną stronę zagadnienia, to musiał do tego honoru i splendoru dopłacić parę groszy — nie to, co teraz — westchnęła panna Ciwle — dzisiaj każdy zarobić chce na wszystkim, no i wychodzi na to, że gdyby można było sprzedawać własne gówno, nikogo by nie powstrzymał smród — teraz to pani chyba przesadziła — krzyknąłem znad kierownicy — prawda, że materializm dialektyczny przemienił się w praktyczny, ale czy to jest powód, żeby tak widzieć wszystkie sprawy — pan nie wie, o czym mówię — znów zaciągnęła się skrętem, wypuszczając strużkę gryzącego dymu — słyszał pan o doktorze Elefancie? — W chwilę potem, gdy zaprzeczyłem, panna Ciwle zaczęła stłumionym głosem swoją opowieść i powiem panu, kochany panie Bohumilu, że ciarki chodziły mi po krzyżach, kiedy pomyślałem sobie, że mógłbym być chory tak jak Jarek i dostać się w łapy doktora Elefanta, który potrafił wprawdzie wyciąć sprawnie tętniak mózgu, lecz jeszcze sprawniej doprowadzał swoich pacjentów do ruiny, żądając łapówek najpierw za miejsce na szpitalnym łóżku, następnie za długotrwałe konsultacje, wreszcie za samą operację, której się podejmował nawet wówczas, gdy sprawa była przesądzona i kiedy wiedział doskonale, że pacjent musi umrzeć, a także wówczas, kiedy przypadek wcale tej operacji nie wymagał; doktor Elefant był bowiem mistrzem w kasowaniu forsy i zawsze umiał ją wyrwać od zrozpaczonych ludzi, którzy dla ratowania bliskich skłonni byli sprzedać dosłownie wszystko i jeszcze się zapożyczyć, więc taki był przypadek Jarka i jego siostry: najpierw, żeby się znaleźć w klinice i zapłacić za operację, sprzedali mieszkanie, potem się okazało, że diagnoza była błędna, operacji nie będzie, a sama choroba jest nietypowa i wymaga dalszego, długotrwałego leczenia, no więc wówczas panna Ciwle udała się do gabinetu doktora Elefanta i zażądała zwrotu pieniędzy, przynajmniej sumy za samą operację, a wtedy doktor Elefant oświadczył jej chłodno, że zaraz zawezwie policję i złoży skargę do prokuratury, bo jest to prowokacja, bo jest to niesłychane, żeby tu, w jego gabinecie, pomawiać go o taką nieuczciwość, gdzie, kto i kiedy widział, by ta pani dawała mu pieniądze i to aż w takiej sumie — sukinsyn po prostu mnie wyrzucił za drzwi — mówiła ze łzami w oczach panna Ciwle — mieszkanie po rodzicach diabli wzięli, Jarka natychmiast wypisano ze szpitala, a ja musiałam w kilka dni z działkowej szopy zrobić coś, co się nadaje do przeżycia zimą, no bo inaczej musielibyśmy spać na dworcu, i całe szczęście, że po rodzicach została nam jeszcze chociaż ta pracownicza działka, więc powiem panu — zagniotła peta na wieczku popielniczki — że nasz przypadek nie jest wcale wyjątkowy i teraz jeżdżę z Jarkiem do różnych cudotwórców, którzy chociaż nie mogą go uzdrowić, przynajmniej nas nie okradają, bo nigdy nie biorą więcej niż za wizytę u dentysty, no a poza tym sami opłacają te swoje gabinety i jakieś tam podatki, w przeciwieństwie do doktora Elefanta, któremu studia, gabinet i narzędzia finansujemy z naszych składek wszyscy jak frajerzy. To niesłychane — zawołałem — i nikt go nigdy nie przyłapie? A niby w jaki sposób — panna Ciwle wytarła nos chusteczką zmieńmy już temat; czy ten Mercedes

pańskiego dziadka był górno—, czy dolnozaworowy? Kochany panie Bohumilu, chyba mnie pan rozumie, że po tym, co usłyszałem, opowieści o dawnych samochodach i automobilowych rozrywkach panów inżynierów wydały mi się błahe i całkiem nieestosowne, na dodatek właśnie mijaliśmy ów biały gmach na rogu Konnego Traktu i Curie—Skłodowskiej należący do Medycznej Akademii, gmach, w którym za czasów *Akademie der Praktischen Medizin in Danzig* profesor Spanner produkował z ludzkich zwłok mydło, i zaraz zrobiło mi się niedobrze na wspomnienie tych fotografii i zeznań świadków, o których pisała w swoim dzienniku zaraz po wojnie Zofia Nałkowska, jak to się mówi, na gorąco, no bo dymiały jeszcze wówczas resztki popiołów w podręcznym krematorium, a w kotłach spoczywały rozgotowane ludzkie torsy i płyty zdejmowanej skóry; zrobiło mi się niedobrze, kiedy uprzytomniłem sobie, że duch tamtej, niemieckiej Akademii Praktycznej Medycyny jest przecież w murach obecnej Akademii wciąż obecny, skoro ludzie w rodzaju doktora Elefanta są w niej powszechnie szanowani, podaje im się rękę, gratuluje habilitacji, składa imieninowe życzenia, przesyła listy pełne szacunku, przydziela rektorskie nagrody, a wszystko to mimo powszechnej znajomości jego metod. — Mam nadzieję — położyłem dłoń na kolanie panny Ciwle — że piekło go pochłonie — piekło — zaśmiała się z niedowierzaniem — tacy jak on są ubezpieczeni na wszystkie sposoby, czy pan wie, że doktor Elefant co dziesiątą operację wykonuje za darmo i nazywa to funduszem świętego Antoniego, no i chyba naprawdę ma nadzieję, że mu to pomoże, chociaż ja myślę, że jak się te wszystkie przypadki dzieciobójstwa podsumuje, no to jednak musi być piekło dla takich jak on. — Dzieciobójstwa? — przerwałem gwałtownie — chyba nie chce pani powiedzieć, że ten cholerny doktor jest także ginekologiem i że w swoim gabinecie, z pomocą ultranowoczesnych rurek i pomp, wysysa te małe galaretowate istoty z łona matek wprost do zlewu — co też obruszyła się panna Ciwle — tego nie powiedziałam, ale powinien pan wiedzieć, że doktor Elefant jest mistrzem zwłok i kiedy trzeba robić operację, czeka, aż rodzice zbiorą całą sumę, no i nie muszą chyba mówić, że nieraz to czekanie przeciąga się zbyt długo i mały pacjent umiera, dlatego nazywają Elefanta doktorem Mengele, aniołem śmierci, chociaż ja nazwałabym go raczej doktorem praw ekonomicznych, no bo w końcu o tym, czy ktoś ma szansę przeżyć, nie decydują narodowość czy wyznanie, ale pieniądze, czysta i sterylna kasa... — To było, kochany panie Bohumilu, bardzo długie milczenie; jechaliśmy teraz wolno Konnym Traktem wzdłuż starych lip, które ponad dwieście lat temu zasadzono w tej alei za pieniądze Daniela Gralatha i pomyślałem sobie, że gdyby Spanner i Elefant byli sympatykami masonerii jak burmistrz Gralath, być może nigdy nie zhańbiliby lekarskiego powołania i pozostali wierni Hipokratesowi, bo przecież w końcu duch masoński mówi o poświęceniu i braterstwie i nie pozwala myśleć o człowieku wyłącznie w kategoriach kostek mydła czy liczby zer po przecinku na koncie, lecz z drugiej strony, tenże duch masoński dawno już wyparował z tego miasta, czego przykładem była właśnie nazwa alei, którą jechałem z panną Ciwle: najpierw nazwano ją Główną, potem Hindenburga, następnie Hitlera, dalej Rokossowskiego, a wreszcie Zwycięstwa, zupełnie tak, jakby wszyscy kolejni—władcy tego miasta bali się Gralatha, choćby tylko we wspomnieniu i pewnie nie mogło być inaczej, skoro aleją pośród wiekowych lip przeciągały od Opery do Śródmieścia fackeizugi, a od Śródmieścia do Opery pierwszomajowe pochody i gdzieś, w niewidzialnym strumieniu czasu, mieszały się ze sobą te wszystkie swastyki, sierpy, młoty i orkiestry, a doktor Spanner i doktor Elefant patrzyli na to z okien Zakładu Praktycznej Anatomii i ściskali sobie ze wzruszeniem dłoń, no bo skoro po tezie fackelzugów przyszła i przeminęła antyteza komunistycznych marszów, nareszcie dla takich jak oni nastał czas syntezy, nieskrępowanej działalności twórczej, arytmetyki czystych zysków, wypranych z wszelkiego brudu zbędnych już idei — tak, tak, kolego, gratuluje mówił ze łzami w oczach Spanner — dożył pan pięknych czasów, w tej szkole lekarze nigdy nie mieli takich możliwości ależ niech pan, łaskawco, nie przesadza — Elefant grzecznie kiwał głową — pański wkład w powojenny rozwój koncernów kosmetycznych jest równie

godny podziwu i zazdrości, zwłaszcza że musiał pan zaczynać niemal od zera, po tamtej stronie Oceanu. — O czym pan myśli? — panna Ciwle przerwała milczenie w małym fiatku. — O facecie, który będąc burmistrzem wyłożył z własnej kasy sto tysięcy na budowę i upiększenie tej drogi — powiedziałem — niemożliwe — wykrzyknęła panna Ciwle — to jest zbyt piękne, aby było prawdziwe, mówi pan — z własnej, a nie miejskiej, kasy? Przecież nie było o tym w telewizji, no i jak sobie to odpisał od podatku, przecież ten Balcerowicz to reketier, nikomu nie popuści — tak — uśmiechnąłem się do panny Ciwle — ale wtedy były zupełnie inne prawa podatkowe i kiedy Daniel Gralath spisywał ten swój legat, ten swój testament, kiedy przeznaczał sto tysięcy guldenów na plantowanie terenu, na wytyczenie alei, wreszcie na zakup i posadzenie tych kilku tysięcy lip, no to nie było żadnego Balcerowicza i dlatego — niech pani tylko spojrzysz — ta aleja jest taka długa i szeroka, jedyne miejsce w mieście, gdzie do dziś nie ma korków, jedyny w mieście pomnik prawdziwie twórczej myśli — wtedy — zapytała panna Ciwle — to znaczy, w którym roku, no i kim był ten cały Gralath — już powiedziałem, że burmistrzem naszego miasta, a przy okazji łowczym i burgrabią polskiego króla, wydał pierwszą encyklopedię elektryczności — zjechałem na prawy pas, skręcając obok Placu Zebrań Ludowych w prawo ku Gradowej Górze — ponadto zajmował się tajnymi naukami różokrzyżowców i wielu podejrzewało burmistrza o przynależność do masońskiej loży, czego nigdy nie udało się stwierdzić, nie jak w przypadku jego syna, również Daniela, ten młodszy Daniel, po studiach u samego Immanuela Kanta, założył w Gdańsku lożę zwaną Pod Dwoma Koronowanymi Lwami, w której to bibliotecznych zbiorach odnaleziono wiele książek Gralatha-ojca, w większości poświęconych rytuałom wtajemniczenia, no i dlatego uważano potem, że Gralath-ojciec także był masonem, co nam wyjaśnia w zupełnie oczywisty sposób, czemu za żadnej władzy, czy byli to Prusacy, naziści, Polacy, komuniści, czy sowietci, nie nazwano tej pięknej alei imieniem wielkodusznego fundatora, który swój zapis w testamencie uczynił tuż przed śmiercią, dokładnie w roku 1767 — Jezu, proszę skrócić na stację benzynową — krzyknęła panna Ciwle — nie mamy już paliwa, zamiast spojrzeć na wskaźnik słucham pana i słucham, jakby pan wrócił z Ameryki, no teraz w lewo, zatankujemy, jak zwykle zapomniał pan migacza!! — Kochany panie Bohumilu, to był nasz stały spór, niejako refren każdej jazdy, z tym migaczem, nieprawda, że zapomniałem go włączyć, otóż nie, nigdy nie zapomniałem, ale, niech pan sam przyzna, na przykład na placu manewrowym, kiedy nie ma oprócz nas żadnego innego samochodu, roweru czy pieszego, albo na drodze, jak koło tamtej stacji benzynowej, kiedy nic nie nadjeżdżało ani z góry od cmentarza, ani z dołu od strony Placu Ludowych Zebrań, no niech pan sam przyzna, jaki jest sens włączać wtedy to migające światło, zupełnie niczym latarnię morską w biały dzień, czyli zupełnie bez potrzeby, lecz panna Ciwle była odmiennego zdania i nieodmiennie w takiej sytuacji mówiła nieco obrażonym tonem — panie Pawle, migacz włączamy nawet na pustyni — a wtedy ja czułem zawsze, że życie zatacza znów tę swoją pętlę, tę *mimořádnou smyčku*, no bo przypominałem sobie te pańskie lekcje jazdy na motocyklu jawa i zastanawiałem się, czy kiedy skręcaliście z Václavskich namesti, dajmy na to, w ulicę Krakowską, to instruktor przypominał panu — proszę wysunąć rękę w prawo — bo przecież wtedy na motocyklach nie montowano jeszcze migaczy, no i pewnie ten moment jazdy z jedną ręką na kierownicy musiał pana kosztować chwilę nerwów, nie mówiąc już o instruktora, no więc wówczas, tuż koło stacji benzynowej i cmentarza, panna Ciwle powiedziała to swoje sakramentalne — panie Pawle, migacz włączamy nawet na pustyni — lecz wtedy akurat nie zdążyłem pomyśleć o panu ani odpowiedzieć pannie Ciwle równie sakramentalnym — to jedźmy na Grenlandię — bo tuż przed skrętem w lewo jej mały fiat kaszłał, czknał, strzelił z wydechowej rury, no i definitywnie stanął, więc musieliśmy z niego wyskoczyć i pchać tych kilka metrów ostro pod górę, by następnie skrócić w lewo, i kiedy zaczynał się już toczyć z górki na podjazd benzynowej stacji, musieliśmy wskoczyć do niego równocześnie, każde ze swojej strony, no i dojechać na luzie bez silnika pod

dystrybutor, co się udało wykonać z nadspodziewanie symetryczną precyzją, zupełnie tak, jakbyśmy byli z panną Ciwle taneczną parą łyżwiarzy figurowych, znających najgłębszą tajemnicę swego fachu, ową matematyczną w gruncie rzeczy definicję zwierciadlanych ruchów, która powiada, że symetria to nic innego, jak niezmiennosc w przekształceniach, ów punkt widzenia przed i po przemianie, zakładający, mimo wszystko, pewną kosmiczną równowagę: góry i dołu, lewej i prawej, ciała i ducha, mowy i milczenia, atomu i próżni, słowem, nicości, z której wyłania się materia, jak zawsze w symetrycznych przeciwieństwach. No, niech pan wsadza rurę — panna Ciwle przez chwilę mocowała się z kluczykiem wlewu — ja pójdę po rachunek — i ruszyła w stronę kasy, a ja, kochany panie Bohumilu, z tym węzłem w dłoni, pochylony nisko nad wlewem małego fiatka, odwracałem głowę jak żona Lota, żeby podziwiać niebywale płynny krok panny Ciwle, jej piękne ruchy, które nie miały w sobie nic z lepkich landrynek, nic z filmów pani Orłowsky, nic z atmosfery budek peep show dance, nie, panna Ciwle płynęła do kasy stacji benzynowej jak łania z *Pieśni nad Pieśniami* i powiem panu, kochany panie Bohumilu, że te jej czarne dżinsy, ciemna jedwabna bluzka, pilchowskie czółenka, skórzana kamizelka i srebrne klipsy połyskujące co i raz między falami rozpuszczonych, miedzianokasztanowych włosów, że wszystko to odbite w taflach szyb benzynowej stacji zwielokrotniało jeszcze ten niebywały efekt czystego piękna płynącego w fiolecie majowego zmierzchu, lecz kontemplacja była krótka, panna Ciwle wybiegła z wnętrza stacji bardzo szybko, była zdenerwowana — cholera jasna! — krzyczała — niech pan prze stanie już tankować, zapomniałam wziąć forszę, a oni nie chcą dać na dowód rejestracyjny, bo mają ich już trzy szuflady, niech pan posiedzi w aucie, pobiegnę szybko, to przecież niedaleko stąd — po co ma pani biegać pod tę górę — powiedziałem, odwieszając wąż — ja zapłacę — i już po chwili znów siedzieliśmy w jej małym fiacie — czy możemy gdzieś pojechać, choćby nad morze — zawahała się przez moment czy mówić dalej — wie pan to już tak jest, że jak mnie złapie chandra, to wsiodam wieczorami w fiatka i jadę przed siebie, dokądkolwiek, czasami człowiek musi wyjść po prostu z domu, bez konkretnego celu, jedźmy, a pan niech opowiada, bardzo to polubiłam. Czy historia dziadków z tymi samochodami została już wydana, chciałabym to przeczytać, może pan ma egzemplarz, Jarek oszalałby z radości — nie — ruszyłem wolno w dół do Trzeciego Maja — i nawet nigdy nie myślałem, że można to opisać można? — spojrzała na mnie pytająco — po prostu trzeba, przecież to fantastyczne, ten przejazd kolejowy i cytryna albo ten mur w pałacu księcia, najbardziej to bym jednak chciała usłyszeć i przeczytać o tych zawodach balonowych, o pogoni za lisem i o klubie automobilowym. — Co jeszcze mogę opowiedzieć? — skreśliłem z włączonym migaczem na most Błędnika — ostatnia pogoń odbyła się nie wiosną, lecz w sierpniu trzydziestego dziewiątego roku, i tak jak zawsze dziadek Karol przygotowywał się do niej perfekcyjnie, tak jak zawsze babka Maria towarzyszyła mu jako pilot z mapnikiem na kolanach, ale tym razem balon, a raczej aura, splątały wszystkim figła, pogoda była piękna, ptaki chodziły po ścierniskach, lecz w rozgrzanym przez całe upalne lato powietrzu ani jeden mocniejszy podmuch wiatru nie chciał wypełznąć z worka Boreasza, balon sunął powoli w stronę Dunajca i zawisł dokładnie pośrodku rzeki, niektórzy kierowcy zaczęli się przeprawiać promem do Wierchosławic, licząc na to, że w końcu pofrunie na tamtą stronę, inni czekali na tym brzegu, nie wierząc w taki obrót sprawy, lecz balon tknięty jak gdyby niewidzialną dłonią, nikt przecież nie czuł najdrobniejszego poruszenia wiatru, zaczął posuwać się na południe i to dokładnie w górę rzeki, a mówiąc jeszcze precyzyjniej, sunął idealnie nad korytem Dunajca, nad samym środkiem jego wartkiego nurtu, i wyglądało to tak, jakby ciągnęły go na linkach trytony zdążające do źródeł, więc pogoń wyglądała tym razem dość nietypowo, samochody i motocykle sunęły w górę Dunajca po obu jego brzegach niczym eskorta honorowa i wszyscy zdawali się mieć równe szansę, przynajmniej do momentu, w którym silniejszy podmuch nie pchnie balonu na lewy albo prawy brzeg, tak więc gdy część zawodników jechała wolno przez Wojnicz, Melsztyn, Czchów i Łososinę Dolną, drużyna nie

mniej liczna sunęła przez Zgłobice, Zakliczyn, Rożnów aż do Gródka, ale to nie był Gródek Jagielloński, ten pod Lwowem, lecz oczywiście Gródek nad Dunajcem — no, a po której stronie — przerwała panna Ciwle — jechał Mercedes-Benz pańskiego dziadka? — Właśnie — zwoźniłem nieco na kostce Siennickiego Mostu, skąd widać było potężne cielska statków i holowniki przy oświetlonych nabrzeżach — dziadek i babka jechali przez Rożnów, no i Gródek, czyli, jak to się mówi, stroną prawobrzeżną — coś mi się zdaje Marysiu — powtarzał dziadek, obracając w palcach dawno już zgasłe cygaro — że on przeleci jednak do nas nie jestem tego wcale pewna — odpowiadała babka — obawiam się, Karolku, że równie dobrze może polecieć do nich i wylądować gdzieś pod Limanową, a wtedy — spojrzała na mapę na pewno nie wygramy, no bo najbliższą przeprawę mamy albo w Nowym Sączu, albo wrócimy się do Czychowa. — No i niech pani sobie wyobrazi — jechaliśmy na Stogi wzdłuż Martwej Wisły — że balon zatrzymał się prawie na samym końcu Jeziora Rożnowskiego, dokładnie pomiędzy Tęgoborzem na lewym brzegu rzeki, a Zbyszycami, które leżały na brzegu prawym, i wisiał tak w powietrzu nieruchomy dobre pół godziny, więc zawodnicy powysiadali z samochodów, zaparkowali motocykle, powyjmowali kosze z prowiantami i zaczął się regularny piknik i tylko dziadek Karol nie brał w nim udziału, nie wysiadł z Mercedesa, na dachu którego babka Maria ustawiła ten ich specjalny przyrząd do mierzenia siły i kierunku wiatru, ten ich wiatraczek na tyczce z licznikiem obrotowym oraz maleńkim barometrem — coś drgnęło — szepnęła wreszcie babka Maria — niewiele, ale w naszą stronę — złóż to i wsiadaj — odszepnął dziadek — i proszę sobie wyobrazić — jechaliśmy teraz sosnowym lasem wzdłuż tramwajowej linii i wydm aż do plaży — że kiedy ruszyli z powrotem drogą na Gródek, odprowadzały ich zdumione spojrzenia piknikujących pań i panów, lecz krótko to trwało, bo kiedy mocniejszy podmuch wiatru przesunął balon na ich stronę, wszyscy raptownie poderwali się z trawki, uruchomili maszyny i popędzili za Merceusem dziadków, który dosłownie paręset metrów za Zbyszycami skręcił w drogę na Korzenną, czyli na wschód, bo właśnie w tym kierunku przybierał z minuty na minutę wiatr — Grybów czy Ciężkowice? — zapytał dziadek, kiedy z zawrotną szybkością sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę przemknęli wzdłuż ostatnich domów Wojnarowej — raczej Ciężkowice, za chwilę skręcaj w lewo — odpowiedziała babka Maria, no i nie pomyliła się, bo balon, który właśnie w tej chwili ukazał się jakieś trzysta metrów przed maską samochodu, sunął teraz dość szybko dokładnie we wskazaną stronę, ale tym razem nie było im dane wygrać tych zawodów — zaparkowałem fiatka przy tramwajowej pętli i ruszyliśmy z panną Ciwle ścieżką ku plaży — ani też nikomu innemu, bo kiedy balon szybował nad Bobową, zza niewielkiego wzgórza nad rzeką Białą gruchnęły salwy przeciwlotniczej artylerii, szare obłoczki rozkwitły wokół barwnej czaszy i gondoli, no i stało się, jeden z pocisków przedziurawił powłokę i balon opadł na łąkę jak wielki spadochroniarz, a chorąży aeronauta Szuber został natychmiast otoczony i aresztowany przez oddział Korpusu Ochrony Pogranicza, czemu towarzyszyła straszliwa awantura, ponieważ aeronauta chorąży Szuber nie miał przy sobie licencji ani żadnego dokumentu tożsamości, miał natomiast aparat fotograficzny i wzięto go za niemieckiego szpiega, na nic się zdały perswazje przybyłego w sukurs dziadka Karola ani następnych zawodników, na nic się zdało tłumaczenie, że balon jest zarejestrowany i ma oznakowanie SP-ALP Mościce, na nic się zdały poręczenia wszystkich panów inżynierów i techników razem wziętych, kapitan Rymwid Ostoja-Kończypolski był nieubłagany, polecił wszystkim zebranym udać się pod eskortą do restauracji pani Klungmanowej i tam czekać na dalszy obrót spraw, więc taki był ostatni lot balonu SP-ALP Mościce i ostatnia pogoń za lisem: w restauracji pani Klungmanowej podawano przepiórki, pieczeń cielecą, zrazy, karpia po żydowsku, barszcz ukraiński, ruskie pierogi, gęsią wątróbkę, smażoną brzanę, marynowane grzyby, faszerowaną kaczkę, schab ze śliwkami, łopatkę, żeberka, rosół wołowy, sztukę mięsa, a wszystko to w bukietach jarzyn i sałatek, do tego piwo okocimskie, piwo żywieckie, czeski pilsner, pięć rodzajów wódek

Baczewskiego, koniaki i szampany francuskie, wina węgierskie ze składów pana Lippoczego, no a na wety gorąca czekolada, lody o smaku pistacjowym, winogrona, kremówki, ektery, pischinger oraz cwibak, kawa, herbata, sinalco, sok malinowy, limoniada, ceny przystępne bez klimatycznej taksy, gdziez bowiem było tam Bobowej do Iwonicza, Truskawca, czy Krynicy. — O Jezuu, jak mi burczy w brzuchu — zaśmiała się panna Ciwle, siadając na piasku — w takim areszcie to i ja bym chciała posiedzieć, tylko żeby mieć trochę kasy. Długo ich tam trzymali? — Mniej więcej trzy godziny — usiadłem obok niej — tylko aeronauta chorąży Szuber był w znacznie gorszej sytuacji, ponieważ jego zabrano na przesłuchanie do polowego biura KOP—u i oprócz szklanki wody nie dano mu nic więcej, no a w tej restauracji zaczął się bal pod kitą, którą dziadek Karol zawiesił pod krokwią powały, więc kolejne toasty wznoszono za przyszłoroczny wyścig i jego tryumfatora, skoro tegoroczny okazał się do kitu, lecz pewnie wielu z nich miało już to przeczucie, że piją na kredyt o najwyższym ryzyku i oprocentowaniu, że podpisują weksel bez terminu, który w każdej sekundzie może iść do protestu, i czuł to doskonale dziadek Karol, kiedy dolewał babce Marii coraz to więcej wina, na co się obruszała, bo nie lubiła, kiedy szumiało jej w głowie, lecz dziadek wiedział, co robi, pochylał się nad nią i mówił ściszym głosem — Marysiu, szczęśliwsi to my już nigdy nie będziemy, trzeba te wszystkie chwile zatrzymać jak owada w bursztynie, przechować może nawet dla naszych wnuków — dlaczego od razu wnuków — dziwiła się ona — jeżeli nawet będzie wojna, świat przecież wróci na swoje miejsce, bo tak jest zawsze — spojrzała z ufnością na niego — miarka pszenicy za denara — uśmiechał się gorzko dziadek — jakiego znów denara, o czym ty mówisz? — dyskretnie położyła dłoń na jego kieliszku i przesunęła naczynie w swoją stronę — no i nie mogli się porozumieć — wyjaśniałem pannie Ciwle — nie mogli, bo w czasie tamtej, pierwszej wojny, mieli zupełnie różne doświadczenia, ona siedziała prawie cały czas w Szwajcarii, a on w okopach, ona organizowała komitety pomocy, a on studiował nowe rodzaje armat i pocisków, ona pisała listy, a on opisywał artyleryjskie mapy, no a potem, kiedy wrócili już do Lwowa, i kiedy wreszcie mieli już odetchnąć, wybuchła jeszcze jedna wojna, już nie światowa, lecz polsko—ukraińska, no i on znowu musiał strzelać, a ona znowu organizowała komitet pomocy, więc widzi pani, że to były zupełnie inne punkty obserwacyjne, nie po raz ostatni zresztą, bo kiedy skończyła się ta ukrainka, niedługo potem ruszyli bolszewicy, tym razem dziadek dostał przydział do pociągu pancernego i chociaż siedział sobie wygodnie w stalowej wieżyczce z napisem „Śmiały”, to jednak znowu musiał strzelać i tym razem nie w powietrze. — Zaraz zaraz — panna Ciwle zapaliła skręta — chce pan powiedzieć, że w czasie tej bitwy z Ukraińcami o Lwów pana dziadek strzelał sobie, jak jakiś Szwejk, w powietrze? — Tego nie wiem — odparłem — ale on tak zawsze mówił, bo ta wojna z Ukraińcami to było jego największe zmartwienie — wygramy ją — powiadał — ale jak będziemy z nimi mieszkać w jednym mieście, jak będziemy sobie patrzeć w oczy? — Co się zaś tyczy bolszewików — kontynuowałem — to na pewno armaty pociągu pancernego „Śmiały” nie strzelały Panu Bogu w okno, tylko w galopujących kawalerzystów Budionnego i pewnie o nich myślał dziadek tam, w restauracji pod Bobową, w sierpniu trzydziestego dziewiątego roku, na pewno wspomniał tych jeźdźców Apokalipsy, którzy sunęli jak szarańcza, w każdym razie — kończyłem — nie miał złudzeń, że nadchodząca wojna będzie podobna do poprzednich i może dlatego, kiedy już wsiadali do Mercedesa, powtórzył cicho ten cytat ze świętego Jana o miarce pszenicy i denarze, czym zdenerwował babkę, która myślała, że wypił ciut za dużo i powinien oddać jej kierownicę, na co, rzecz jasna, nie chciał przystać, więc ten ostatni wspólny powrót z pogoni za lisem upływał im pod znakiem milczącej kłótni; wolno minęli dom słynnego cadyka, wokół którego gromadzili się chasydzi, a potem na długich świątlach jechali krętą drogą między wzgórzami pograżonymi w mroku, silnik grał równomiernie, przez uchyloną szybę wpadał do samochodu nieustanny koncert świerszczy i ten niezwykły nastrój sierpniowej nocy zapamiętali już na zawsze, bo rzeczywiście — objąłem delikatnie pannę Ciwle — nigdy już

potem nie byli tak szczęśliwi. I mech pan sobie wyobrazi, kochany panie Bohumilu, że kiedy skończyłem to ostatnie zdanie, moja instruktorka położyła mi dłoń na ramieniu i siedzieliśmy tak nieruchomo jak para zakochanych uczniów, spoglądając w ciemnogrnatowy płaszcz zatoki, po którym wolno przesuwają się światła statków, tych, które stały na redzie, i tych, które płynęły do Królewca, Sztokholmu, Helsinek, Visby, Hilversum, czy gdzie tam jeszcze, i dało się w tej chwili wyczuć jakiś niesamowity nastrój, jakiś psychiczny Goirstrom przepływający pomiędzy nami i to wcale nie z powodu tego niewinnego dotyku, lecz z powodów głęboko zasadniczych i by tak rzec, fundamentalnych: po prostu, kochany panie Bohumilu, wyczuliśmy w sobie bratnie dusze, coś, o czym pisali Shelley, Keats, Byron i Mickiewicz, coś, z czego dzisiaj śmieją się wszyscy, nie wykluczając uczonych i artystów, z czego nie zdają sobie sprawy księża, czego nie znają już pisarze, słowem, połączył nas ów całkiem zaginiony język, niczym nie babiego lata, choć to wcale nie był październik tylko noc majowa, na niebie królował już zdecydowanie Arktur, towarzyszyła mu równie jasna Spica z gwiazdozbioru Panny, Wielki Wóz przetaczał się gdzieś od Bornholmu w stronę Helu, a nasze stopy obmywały fale chłodnego jeszcze o tej porze roku morza. — Naprawdę pięknie — wyszeptwała panna Ciwle — Mercedes sunący w mroku, no i te świerszcze, niech pan dokończy, niech pan powie, co było dalej — niemieckie samoloty — odparłem — których nie dosięgały baterie kapitana Rymwida Ostoi-Kończypolskiego, niemieckie czołgi, których nie powstrzymały oddziały kawalerii, słowem klęska, ale zanim to wszystko się spełniło, na kilka dni przed wybuchem wojny, dziadek zdążył jeszcze wykonać jedną fotografię i oddać ostatnią rolę filmu panu Chaskielowi Bronsteinowi, no i to było ostatnie zdjęcie, jakie pstryknął w tamtej Polsce, portret rodzinny: po lewej stronie, na samym skraju drogi stała babka Maria, potem dwa batiary, jak ich po lwowsku nazywano, czyli mój stryj i ojciec, no a dziadek, którego przecież nie mogło być w kadrze, dziadek także obecny był na tym zdjęciu w postaci wyraźnego cienia i powiem pani, że ilekroć oglądałem tę fotografię, ilekroć obracałem w palcach ten mały poźółkły kartonik z zakładu pana Bronsteina, czułem wzruszenie, no bo przecież ten cień był jak zapowiedź nadchodzących wydarzeń, był jak milcząca nieobecność dziadka przez parę najbliższych lat, a co się tyczy Mercedes — uprzedziłem pytanie panny Ciwle — to również była to pożegnalna fotografia — no tak — wpadła mi w słowo — na pewno zarekwirowali go Niemcy — otóż nie — wyjaśniłem — kiedy spadały już bomby, dziadek otrzymał polecenie, by wszystkie papiery z sekretami chemicznych technologii wywieźć na wschód, gdzie będą bezpieczne, bo przecież zakładano, że front zatrzyma się na Dunajcu, no a w najgorszym razie gdzieś na Sanie, i przetrwa tak do francuskiej odsieczy, ale to były pobożne życzenia, i dziadek, przebijając się Mercedese przez drogi pełne uciekinierów, na których ćwiczyli swoją sprawność piloci Luftwaffe, pewien był, że nie wykona już tego zadania, że nie zdąży dotrzeć do Lwowa, gdzie czekać miał na niego w hotelu „Georges” agent dwójki, ale stało się zupełnie inaczej: dwadzieścia mniej więcej kilometrów pod Lwowem, już za Gródkiem Jagiellońskim, a jeszcze przed Zimną wodą, zauważył przed sobą szpicę Czerwonej Armii, kawaleryjski oddział zwiadu, i chciał natychmiast zawrócić, bo z dwojga złego wydawało mu się, że jednak lepiej będzie ukryć się i zakończyć misję gdziekolwiek po niemieckiej stronie, lecz już nie zdążył, krasnoarmiejcy przynaglili konie i otoczyli Mercedesa, a ich dowódca, porucznik z ospowatą twarzą, niemal zaklaskał w dłonie na widok samochodu — no, poszczęściło nam się dzisiaj, komisarz będzie zachwycony — krzyknął do żołnierzy, a do dziadka — *wychadi, swołocz!* — no i niech pani sobie wyobrazi mówiłem do panny Ciwle w równomiernym szumie fal — że ten porucznik wypisał kwit rekwizycyjny — to papier dla Polaczka, żeby nie rozpowiadał potem, że nasza armia kradnie uśmiechnął się i klepnął dziadka w plecy — my znamy waszą wraź propagandę — więc dziadek stał przed tym ospowatym porucznikiem i w milczeniu przyjmował kwit rekwizycyjny, podczas gdy bojcy przetrząsali auto i wyrzucali do rowu, ku zdumieniu dziadka, wszystkie niepotrzebne im rzeczy: w gęstwinę łośnianów poszybował

komplet samochodowych kluczy Boscha w ebonitowej skrzynce, sfatygowany przez mole stary pudermantel dziadka, para kaloszy, oliwiarka, pusty futerał po goglach, a także plik dokumentów przewiązany papierowym sznurkiem, którego na szczęście nie przejrżeli, wydobywając go ze skórzanej teczki, i tę ostatnią, naturalnie, zatrzymując, i wszystko to trwało nie więcej niż siedem minut — wyjaśniłem pannie Ciwle — kiedy tylko ruszyli z powrotem w stronę Lwowa, dziadek zapalił papierosa i przyglądał się uważnie obłoczkom pyłu wykwitającym spod kopyt wierzchowca porucznika, koń bez jeźdźca biegł teraz swobodnie za Mercedese, podczas gdy jego pan zmieniał swobodnie biegi, włączał migacze, próbował siły klaksonu, a żołnierze eskortujący auto strzelali na wiwat i śpiewali piękną, melodyjną pieśń o polskich panach i psach, atamanach, którzy zapamiętają na zawsze Czerwoną Armię; dopiero kiedy zniknęli za zakrętem, dziadek wskoczył do rowu, wy dostał stamtąd swoje rzeczy i wolno ruszył piechotą do Lwowa, mając nadzieję, że mimo tej niespodziewanej sowieckiej okupacji uda mu się wypełnić misję, i tak go sobie wyobrażam na tej drodze: idzie wolno w starym pudermantlu, co chwila przystając, bo ebonitowa skrzynka z narzędziami Boscha jest bardzo ciężka, a w drugiej ręce, a właściwie pod pachą, trzyma przewiązany papierowym sznurkiem plik tajnych dokumentów Państwowej Fabryki Związków Azotowych w Mościcach, na które czekać miał w hotelu „Georges” agent dwójki. — Piękne, delikatne stopy instruktorki, obmywane tak samo jak moje chłodną falą Bałtyku, co chwila znikają pod wilgotnym piachem; zajęta tą dziecięcą grą w zakopywanie i wydostawanie własnych kończyn z szarej, bezkształtnej masy panna Ciwle zdawała się nie słuchać tej historii, lecz skoro tylko po słowach o agencji dwójki zamilkłem., natychmiast zapytała — no i spotkali się w tym hotelu? — W hotelu „Georges” — ciągnąłem dalej — pełno już było sowieckich oficerów i cała sala restauracji przypominała sztab po zakończonej i wygranej wojnie; dziadek podjechał tam tramwajem z ulicy Ujejskiego, gdzie wcześniej przebrał się i odpoczął, więc nie wszedł do hotelu, stał na chodniku i patrzył jak przechodzić przez okna rześcicie oświetlonej sali, i nie mógł uwierzyć własnym oczom: kelnerzy młodszy, starsi, pikolacy, dosłownie wszyscy tańczyli przy stolikach, podając sowieckim oficerom sztufadę, pieczeń, baraninę, wina węgierskie, francuskie koniaki i wódki Baczewskiego, a ci płacili najuprzejmiej jakimiś dziwnymi papierkami, dziadek wspiał się na palce i przyklejony do restauracyjnej szyby spostrzegł, że są to rekwizycyjne kwity Czerwonej Armii, takie same jak ten, który otrzymał za Mercedesa i był to widok nadzwyczajny: rozochoceni oficerowie tłukli kieliszki i pili już wyłącznie ze szklanek, jakby zdawali sobie doskonale sprawę, że piwnica hotelowa za kilka godzin będzie kompletnie pusta, bo niby kto dostarczy do niej tokaju, piolunówki, armaniaku czy bordeaux, więc wyciągali ze swoich kieszeni całe książeczki rekwizycyjnych kwitów i ciskali nimi na srebrne tace, a kelnerzy uśmiechali się do nich i dziękowali za te niebotyczne napiwki, jakby wiedzieli doskonale, że oficerowie Czerwonej Armii równie dobrze mogą zapłacić za ten znieawidzony klasowo luksus nie karteczkami, lecz ołowiem, dziadek odstał więc od okna i szedł w stronę Hetmańskich Wałów, przybity i załamany nie tyle niespodziewaną okupacją i stratą Mercedesa, bo przecież w Środkowej Europie takie sprawy nie są czymś nadzwyczajnym, stanowiąc niejako naturalny i zewnętrzny porządek rzeczy, lecz tym, że ta ciemna i złowieszczą siła wtargnęła niespodziewanie na obszar, który nigdy do tej pory nie podlegał aneksjom czy najazdom, i dlatego wydawał się najbezpieczniejszy, słowem, że cała ta machina wkracza powoli, lecz systematycznie w obszar jego pamięci i kawałek po kawałku niszczy jej delikatną tkanę, odbiera siłę czystych, ostrych obrazów, wydiera przeszłość i nakłada na nią ów specyficzny, nieznany jeszcze wówczas narodowi Środkowej Europy filtr, który z niczym właściwie nie dał się porównać; otóż maszerujący Wałami Hetmańskimi dziadek zrozumiał to intuicyjnie, gdy uświadomił sobie, że wszystkie jego wspomnienia z hotelu „Georges” i Placu Mariackiego, wszystkie te chwile, w których spotykał się tutaj z narzeczoną, przyjaciółmi czy kolegami z politechniki, będą już teraz czymś zupełnie innym, na zawsze wypełnionym śpiewem i

toastami sowieckich oficerów, dymem ich papierosów, ostrym zapachem adiekałonu i potu, dźwiękiem harmoszki, zgrzytaniem szkła pod ich butami i jeśli na przykład przypomni sobie kiedyś rozmowę z narzeczoną, kiedy to opowiadała mu o swojej węgierskiej matce, tak młodo i tragicznie zmarłej, a on rozprawiał o historii prapradziadka, lekarza napoleońskich wojsk, awanturnika i hulaki, jeśli przywoła zatem wszystkie złożone ingrediencje tamtego spotkania sprzed wielu lat, łącznie z obłokami nad placem, hurkotem konnych wozów, dzwonkiem tramwaju i promieniami słońca wpadającego przez okno restauracji na ich stolik, to nieodmiennie nałoży się na ten obraz rząd purpurowych i spoconych twarzy, otoki czapek spoczywających na obrusach czy plik rekwizycyjnych bloczków ciskany kelnerem, i przyzna pani — ciągnąłem niestrudzenie dalej, podczas gdy panna Ciwle wyciągnęła stopy z wody — że takie myśli nie były pocieszające w mieście, w którym na wszystkich niemal ulicach wisiały już czerwone transparenty — *Sława wyzwolicielom Zachodniej Ukrainy, Precz: z burżuazją, Lud pracujący ze Stalinem* — a jakby tego jeszcze było mało, gdzieś w okolicach pomnika Sobieskiego dziadek zauważył, jak po drugiej stronie alei przemyka Mercedes-Benz, czterodrzwiowa stosedemdziesiątka w zgniłozielonym kolorze, i rozpoznał w nim swoje auto, a mówiąc precyzyjnie, auto, które zmieniło radykalnie właściciela, i wtedy usłyszał za plecami — pan inżynier Karol? Proszę się nie odwracać, idziemy obok siebie jak gdyby nigdy nic, tak, dobrze, że nie wszedł pan do hotelu, roi się od agentów, no ale gdyby, nasz człowiek miał pana przejąć i wyprowadzić kuchnią, tak, wszystko się komplikuje, ale kontrolujemy sytuację, oczywiście, lepiej nie patrzeć za tym Mercedesem, bo to zwraca na nas uwagę, ja panu powiem, kto w nim jedzie, to jest komisarz Chruszczow, jeszcze nieraz będziemy o nim słyszeć, ale a propos, ma pan ze sobą te papiery? — Pojechali tramwajem na Ujejskiego — wzięłem pod ramię pannę dwie, gdy powoli schodziliśmy z plaży — i tam, w dawnym mieszkaniu babki Marii wypili cała flaszkę piołunówki, nic więc dziwnego, że ich rozmowa najpierw krążyła wokół zbombardowane; kilka dni wcześniej przez Luftwaffe wytwórni wódek i likierów Baczewskiego — spłonęła dziewiątego września — poinformował sucho agent dwójki — no, a dziś rano Sowietci aresztowali obu panów Baczewskich, Stefana i Adama — czy po to, aby im wręczyć rekwizycyjne kwity? — zdziwił się dziadek — to się nazywa czyszczenie z obcych elementów — wyjaśnił agent — niech pan ucieka ze mną na Węgry i do Francji, za rok wrócimy przez pokonany Berlin do Warszawy — no, a ci tutaj — dziadek ruchem głowy wskazał na uchylone okno, za którym dudnił przejeżdżający czołg — Francja i Anglia nigdy nie poprą tej aneksji — powiedział as wywiadu — zwrócimy się ponadto do Ligi Narodów — ale mój dziadek — wsiadaliśmy już z panna Ciwle do małego fiata — jakoś nie dowierzał aliantom, ani tym bardziej nie ufał Lidze Narodów, więc następnego dnia ruszył z powrotem do Moście przez świeża, jeszcze nie zaorana przez Niemców i Sowietów granicę, no a kiedy dotarł wreszcie do domu, zamiast zgłosić się do pracy w niemieckiej już fabryce, całymi dniami przeglądał stare fotografie, porządkował swoje archiwum, dopisywał na odwrotach kartoników brakujące daty, imiona osób, nazwy miejsc, i czuł, że ten rozwijany na nowo rulon czasu jest już zupełnie czymś innym niż katalogiem zwykłych wspomnień, czuł, że chwile schwyte kiedyś chłodna migawka leiki składają się na zupełnie nowa Księgę, której nigdy przecież nie zamierzał tworzyć, a która złożona z przypadkowych chwil, przegubów światła, okruchów materii i dawno wybrzmiałych głosów, jest niczym nagle otwarta, sekretna furtka uchylająca przed zaskoczonym przechodniem nieznaną dotąd perspektywę, zadziwiający spektaki fantomów czasu i przestrzeni, wirujących niczym złote słupki kurzu w ciemnym, starym spichlerzu. I dlatego dziadek zapragnął spotkać się z panem Chaskielem Bronsteinem — jechaliśmy znów przez Siennicki Most nad martwą wstęgą kanału portowego, w którym kadłuby statków przypominały śpiące cielska egzotycznych potworów — po to — kontynuowałem — aby podzielić się tym właśnie spostrzeżeniem i żeby kupić trochę filmów na zapas, bo odkąd weszli Niemcy, codziennie zakazywano kolejnych rzeczy, no i dziadek obawiał się, że

fotografowanie też niedługo zostanie Polakom zabronione, podobnie jak słuchanie radia, jazda na nartach, koncerty symfoniczne, nie mówiąc już o studiowaniu geologii na otwartych wykładach Towarzystwa Przyrodniczego, które, jak wszystkie towarzystwa i uczelnie, zostało po prostu zlikwidowane; pojechał więc rowerem do Tarnowa, by kupić u pana Bronsteina papier i filmy Gevaerta, ale zakład był już zamknięty, tylko na zapleczu ktoś jeszcze kręcił się po cichu, dziadek wszedł więc w podwórko i zastukał delikatnie trzy razy — inżynierze — ucieszył się pan Chaskiel — słyszałem, że aresztowali pana we Lwowie Sowietci, więc to nieprawda — podał gościowi krzesło — tym razem odpowiedział dziadek—wykpiłem się tylko samochodem, a do następnego już nie czekałem, wróciłem tutaj — tutaj nie lepiej — pan Chaskiel wskazał na swoją opaskę z gwiazdą — zamykam zakład i wyjeżdżam do Argentyny — do Argentyny — zdziwił się dziadek—w jaki sposób? — Niech pan nie pyta, w jaki, niech pan się modli, żebym mógł tam sprowadzić rodzinę, ten paszport kupiłem na dwa tygodnie przed wybuchem wojny, ale jest tylko na mnie, a oni muszą iść do getta, zabrali nam mieszkanie, pan nawet nie wie, jakie musiałem dać łapówki w naszej gminie, żeby zapewnić im choć pokój z kuchnią, no ale jakoś przeczekają, pana to przynajmniej z fabryki nie wyrzucą, proszę, niech pan to weźmie ode mnie na pamiątkę — i pan Chaskiel Bronstein wręczył dziadkowi kilka pudełek fotograficznego papieru i kilkanaście rolek filmu Gevaerta, a kiedy mimo wszystko chciał zapłacić, fotograf zachnął się i stwierdził, że od najlepszego klienta w mieście, który nawet wówczas, kiedy endecy nasmarowali na jego szybie napis — nie idź do żyda — ostentacyjnie zatrzymywał swojego Mercedesa przed jego zakładem i wchodził do środka, kupując znacznie więcej, niż potrzebuje, że od takiego klienta nie będzie teraz brał pieniędzy; dziadek, już na odchodnym, kiedy serdecznie się pożegnali, powiedział jeszcze tylko — wie pan, ja już nie chodzę do fabryki, niech sobie Niemcy radzą sami — i wyszedł na podwórko, ale roweru nie było, ktoś najzwyczajniej go ukradł i dziadek szedł ulicą Krakowską w dół, mijając patrol niemieckiej żandarmerii, i zastanawiał się, co będzie dalej, skoro Francuzi nie rozpoczęli ofensywy, Anglicy nie zrzucili na Berlin ani jednej bomby, a Niemcy i Sowietci urządzają wspólne defilady i przypomniał sobie wtedy, jak w Wolnym Mieście Gdańsku założył przed laty małą firmę importującą chemikalia, jak go nęcano kontrolami, jak otrzymywał listy — Polaczku, nic tu po tobie — i jak, wreszcie, podpalono nocą jego skład konsygnacyjny, za co mu przyszło jeszcze płacić karę, kiedy się okazało, że złożył skargę w Komisariacie Ligi Narodów, więc w tym nastroju wrócił do domu w Mościcach, a tam czekało już na niego wezwanie na policję — nie idź — załamywała ręce babka Maria — może już lepiej wróć do Lwowa i tam przeczekaj jakoś — nic mi nie mogą zrobić — dziadek wzruszał ramionami na pewno chodzi o to, że jeszcze im nie oddałem Mercedesa, czytałem ogłoszenie, powiem, że byłem u rodziny na wschodzie, no i pokażę to — dziadek wyciągnął rekwizycyjny kwit Czerwonej Armii — przecież ze sobą współpracują i może nawet wymienia ten samochód, żeby statystyka się zgadzała. No i niech pani sobie wyobrazi — spojrzałem na pannę Ciwle — że dziadek, idąc na policję, wziął ze sobą ten kwit, ale przesłuchujący go gestapowiec nawet nie bardzo się tym przejął, chodziło bowiem o to, że dziadek nie zgłosił się do pracy, czym zbojkotował zarządzenie Arbeitsamtu, a musi pani wiedzieć — wyjaśniłem — że w tej fabryce produkowano nie tylko nawozy dla rolnictwa, lecz także wybuchowe materiały, no i ten gestapowiec otworzył teczkę z dossier podejrzanego, skąd wyjął kopie ekspertyz i patentów dziadka i rzucił je na biurko, mówiąc — wiemy o tobie wszystko i mamy ostatnią propozycję: od dziś nie jesteś już Polaczkiem, ale jako Austriak z pochodzenia Niemcem, a jutro stawiasz się do pracy. — No i tego samego dnia — kończyłem opowieść — dziadek siedział już w tarnowskim więzieniu, skąd zawieziono go do Wiśnicza, gdzie było już kilkuset takich jak on niepożądanych, a stamtąd pojechali wszyscy do Oświęcimia i otrzymali niskie, trzycyfrowe numery z literą „P” na trójkącie pasiaka. — No a gdyby posłuchał pańskiej babki — panna Ciwle była poruszona — gdyby jednak przedostał się do Lwowa? — Pewnie wówczas trafiłby do Donbasu —

skręcałem fiatkiem z Mostu Błędnika w Trzeciego Maja — jak Stefan i Adam Baczewscy, którzy zginęli tam w czterdziestym roku. — Kochany Panie Bohumilu, bardzo mi było przykro z powodu panny Ciwle, bo zamiast snuć dalej wesołe dykteryjki, zamiast rozśmieszać ją, która była w nieporównanie gorszej niż ja sytuacji, a mówiąc wprost, żyła bez żadnej nadziei na przyszłość, zamiast więc ofiarować jej przygarść anegdot, które miałem jeszcze w zanadrzu, wysnułem martyrologiczną opowieść, sam właściwie nie wiedząc, jak to się stało, że słoneczne pikniki nad Dunajcem, narty w Truskawcu czy pogoń za balonowym lisem skończyły się w mojej wersji rekwizycją i trzycyfrowym numerem dziadka Karola, skończyły się straszną śmiercią rodziny pana Chaskiela Bronsteina w masowym dole śmierci pod Buczyną i nie mniej okrutną śmiercią panów Baczewskich w sztolniach Donbasu, tak, czułem się winny, patrząc na jej posmutniałą twarz, i nagle, w tym samym momencie, gdy skręcaliśmy już w bitą drogę pomiędzy działkowymi ogródkami Kolonii Ochota, uświadomiłem sobie, że nie wszystko, co miało w mojej rodzinie związek z firmą Mercedes Deimler–Benz skończyło się żałobnym marszem i goryczą przegranej, że przecież po latach, już tutaj, w Gdańsku, życie dopisało do tamtej historii jeszcze jedną puentę, której treść mogła pannę Ciwle bezwzględnie rozbawić; zredukowałem zatem bieg i powiedziałem do niej, kochany panie Bohumilu — a wie pani, że jednak życie zatoczyło niesamowitą pętlę, bo mój ojciec, który przez całe życie w komunistycznej Polsce był biedakiem, któregoś razu wrócił trochę później z pracy, a właściwie nie wrócił, tylko przyjechał ale kochany panie Bohumilu, nie rozwinąłem tego wątku konsolacji, nie postawiłem wówczas nad tą pochmurną partyturą słonecznej, jasnej kody, bo panna Ciwle wpatrzona w mrok dostrzegła, że wokół jej drewnianej szopy tańczą płomienie i rzeczywiście wyglądało to przerażająco, ogień zdawał się sięgać wyżej otaczających domek krzewów — Jezus Maria, no niech pan daje gazu, Jarek, Jarek!! — krzyczała, powtarzając imię brata, no więc dodałem gazu, koła zabuksowały w piachu na zakręcie, fiatki zarzucił tyłem i na ostatniej krótkiej prostej rozpędziłem go tak, że hamowanie skończyliśmy z dziobem w drewnianej furtce, panna Ciwle jednym susem przesadziła jej połamane sztachety i już była przy szopie, gotowa skoczyć w ogień, wyciągać Jarka, ratować dom, ale na szczęście nie było to potrzebne; kiedy cofnąłem fiatka i ustawiłem tak, żeby w razie czego mogła podjechać straż pożarna, kiedy biegłem już w ich kierunku, usłyszałem jej głośny śmiech — Fizyk, czemu ty zawsze robisz jaja, myślałam, że już po wszystkim, no a ty, Bucior, czy zawsze musisz kłaść w ogień tyle chrustu, serce skoczyło mi do gardła, panowie się poznają — właśnie podchodziłem do ogniska, przy którym siedział na swoim wózku także Jarek, zjadając kielbasę skwapliwie podtrzymywaną przez Buciora — to jest mój kursant, a to sąsiedzi z działek — nie uprawiamy tu marchewki — Fizyk podał mi dłoń — ale mieszkamy tak jak ona — czasem z kradzioną kurą wpadamy na ognisko zaśmiał się Bucior — żeby nakarmić Jarka — to ja przyniosę boczek i karkówkę — pana Ciwle ruszyła do drzwi szopy — a ty, Fizyk, przytargaj rusztowanie, jest tam, gdzie zawsze; — trwało to ledwie chwilę, kochany panie Bohumilu, Fizyk przyniósł z szauerka ruszt, Bucior zbił ogień i dołożył kilka grubszych pniaków, a ja w tym czasie przytrzymałem pieczoną kielbasę, którą Jarek odgryzał małymi kęsami, mlaskając i pomrukując z zadowolenia, i po każdej takiej porcji wycierałem chusteczką jego zatłuszczone usta i podbródek, ale ostatniej porcji nie chciał zjeść, pokazywał wzrokiem, żebym to ja ją połknął, bo jestem pewnie głodny, więc przyjąłem ten darowany kęs i poklepałem Jarka po ramieniu, a wtedy przechylił głowę, dotknął nią mojej dłoni i przeciągle wystękał – uuu–uuu–uuu —co miało znaczyć „dziękuję”, tymczasem na ruszcie zainstalowanym przez Fizyka panna Ciwle ułożyła płyty karkówki przekładane boczkiem i cebulą, posypane ziołami, nawilżone oliwą. Bucior podawał flaszki heweliusza, a Fizyk ze srebrnego pudełeczka, które przypominało miniaturową cukiernicę, sypnął na spodek białego proszku, wyjął z kieszeni szklaną rurkę i z jej pomocą wciągnął ten puder do nosa, po czym podał spodek i rurkę Buciorowi, który z najwyższym ukontentowaniem, acz bez pośpiechu, uczynił to samo i nie będę ukrywał,

kochany panie Bohumilu, że wiedziałem, co zaraz nastąpi i pewnie dałbym się skusić, gdyby nie panna Ciwle, która szepnęła mi do ucha — tego niech pan nie bierze, mam coś lepszego, potem... — więc odmówiłem grzecznie Buciorowi, kiedy zaproponował niucha, szklana rurczka i spodek zostały odłożone, jedliśmy pieczone płaty mięsa, popijając schłodzonym w cynkowanej wanience heweliuszem, a Fyzyk opowiadał o swoim najszcześniejszym, kalifornijskim lecie, kiedy stanął na szczycie, kiedy miał masę forsy, kiedy kochały go kobiety, kiedy robiono z nim wywiady, a wszystko zaczęło się tu, w Polsce, bo Fyzyk, muszę wyjaśnić, kochany panie Bohumilu, był rzeczywiście fizykiem, pracował na naszym uniwersytecie jako młodszy asystent, ale zarabiał tak nędznie i chciał wyjechać do Ameryki tak bardzo, że zaczął tu, na działkach, produkować cementowe pustaki i bloczki, a ponieważ były to ostatnie lata generalskich rządów, towar szedł po prostu jak woda, po krótkim czasie Fyzyk zatrudnił w tej manufakturze pół swojej katedry, no i miał na ten upragniony bilet do Chicago i na początek swojej amerykańskiej drogi sporo grosza, ale tam, za Oceanem, sprawy nie potoczyły się tak gładko, o pracy w swoim zawodzie nawet nie miał co marzyć, forsa stopniała prędko, miał się różnych zajęć, skończyła się wiza, słowem bryndza, no i kiedy był już na samym dnie, kiedy nocował w najohydniejszych norach, przyszedł ów magiczny moment, o jakim marzą wszyscy imigranci, niespodziewany dar od losu, hollywoodzki zwrot akcji: w Minneapolis śiaąpił deszcz ze śniegiem, Fyzyk, w znoszonych adidasach, snuł się ulicą i myślał już tylko o samobójstwie, lecz przed tym ostatecznym rozwiązaniem chciał się gdzieś ogrzać i wstąpił do galerii sztuki, a tam demontowano akurat jakąś wystawę, jakieś drewniane instalacje, jakieś drewniane bale ponacinane mechaniczną piłą, Fyzyk przyglądał się robotnikom taszczącym te toporne konstrukcje i wtedy facet w krawaciku podszedł do niego i powiedział — dzisiaj zamknięte, za trzy dni będziemy mieli nową ekspozycję, proszę nam nie utrudniać pracy — więc Fyzyk odpowiedział — odczep się chłopie, jestem artystą z Europy, niczego nie utrudniam i patrzę tylko na możliwości waszej sali — jakie znów możliwości — zapytał tamten — mobilne możliwości, durniu, ty pewnie nie słyszałeś nigdy o tym rodzaju sztuki, no ale Ameryka, która nam dała Pollocka, Beuysa i Warhola, Ameryka, na której byliśmy wszyscy wychowani, teraz już goni w piętę, pożera własny ogon, serce prawdziwej sztuki znów bije w Europie — mówiąc to. Fyzyk zapalił ostentacyjnie papierosa i nie zwracając uwagi na tamtego, przechadzał się po wielkiej sali, zerkał na sufit, liczył kroki, przez zaciśnięte palce spoglądał w światła halogenowych reflektorów i myślał, że zaraz go wyrzucą z ogrzewanego wnętrza, na którego podłodze jego adidas-y pozostawiały wciąż mokre plamy; uprzedzając ten przykry moment, ruszył więc do toalety i to było to, kochany panie Bohumilu, bo kiedy przechodził obok uchylonych drzwi pokoju biurowego, usłyszał, jak ten w krawaciku drze się do słuchawki — ty chyba zwariowałeś, Lee! ty jesteś pomyłony! za trzy dni wystawa, a ty znowu chlejesz, nic nam nie dostarczyłeś, w ogóle się nie odzywasz, mamy już tego dosyć! — i widocznie tamten artysta musiał coś szpetnego odpowiedzieć, bo ten w krawaciku rzucił tylko — kurwa, to ja cię pierdolę, Lee! — i to był koniec rozmowy, więc Fyzyk spokojnie wszedł do toalety i umył sobie twarz i dłonie w ciepłej wodzie, a potem zdjął te cholerne, mokre jak gąbka adidas-y i brudne skarpetki i jak akrobata podnosił najpierw jedną, a potem drugą nogę, i wkładał te zmarznięte na ulicach Minneapolis stopy do umywalki, i puszczał mocny strumień ciepłej wody, i w trakcie tej czynności do toalety wszedł ten w krawaciku, ich spojrzenia skrzyżowały się w lustrze i zanim tamten zdążył coś powiedzieć, Fyzyk ryknął na całe gardło — kurwa, nie znoszę, jak ktoś podgląda moje rytuały — na co facet w krawaciku powiedział szeptem — przepraszam — no i wycofał się natychmiast, a Fyzyk wyrzucił swoje śmierdzące skarpetki do kosza, owinał stopy papierowymi ręcznikami i włożył już nieco osuszone adidas-y, lecz zamiast wyjść z galerii, wrócił do pustej teraz sali, stał na środku, podchodził do kątów, mrużąc półgłosem — to nie jest sprzyjające, to mnie stresuje, ta statyczność, kurwa, jest nie do wytrzymania — a tamten w krawaciku przyglądał się Fyzykowi zza futryny, no a kiedy Fyzyk wrócił wreszcie na sam

środek sali, położył się na wznak i z rękami założonymi pod głowę spoglądał w sufit, ten w krawaciku podszedł do niego i spytał — możemy porozmawiać? — Więc to był, kochany panie Bohumilu, prawdziwy moment przełomowy, geniusz Fizyka zabłysnął już następnego dnia, kiedy w tych samych adidasach, lecz w nowym płaszczu wkroczył do galerii i cisnął jej szefowi obszerne *portfolio* z wyimkami recenzji swoich wystaw, ilustracjami dzieł oraz partiami teoretycznych opracowań, które składały się na zjawisko mobuartu, czyli *mobile building art*, tak, Fizyk był geniuszem niewątpliwym, któż bowiem w ciągu jednej nocy stworzyłby komputerową symulację tak idealnie spójną, przekonującą, a zarazem doskonale fałszywą, niech tajemnicą pozostanie, skąd tamtej nocy wziął pieniądze, komputer, skaner, papier i drukarkę, a także wszystkie materiały, które potrzebne były do stworzenia nieistniejącej sztuki nieistniejącego jeszcze artysty, dość, że nagłówki wielojęzycznych gazet, tytuły recenzji, a przede wszystkim barwne fotogramy z jego akcyjnych przedsięwzięć zachwyciły szefa galerii — to jest powrót do źródeł — powiedział z błyskiem w oku — spadłeś mi z nieba, no ale co pokażesz pojutrze — a wtedy Fizyk położył mu na biurku kosztorys przedsięwzięcia i odparł, że prawdziwy artysta nigdy nie ujawnia zbyt wcześnie swych zamiarów, gdyż działa spontanicznie i odkrywczym, przełamując wszelkie schematy i konwencje, i to się jeszcze bardziej spodobało, ponieważ, bez zmużenia oka, szef galerii wypisał Fizykowi czek, martwiąc się tylko o to, czy mobuart chwyci, czy nie chwyci, jednakże geniusz Fizyka okazał się niewyczerpany, bo niech pan sobie tylko wyobrazi, kochany panie Bohumilu, że w dniu wystawy oczom zgromadzonych licznie krytyków, yuppies i koneserów sztuki ukazały się w pustej przestrzeni dwa sześciany, dwa pudła ustawione mniej więcej pośrodku sali i wyglądało to tak, jakby na lekkie szkielety bambusowe naciągnięto czarną, grubą, nieprzezroczystą folię, no ale to nie był bułgarski performance Christo, jakaś banalna idejka wnętrza i zewnątrz, i zgromadzona publiczność pojęła to natychmiast, gdy Fizyk zerwał czarną folię z tego pierwszego, mamucich rozmiarów sześcianu, no i wszystkim zaparło dech, tak, to był ustawiony pionowo na drewnianych prowadnicach węzeł betoniarski, taki sam jaki Fizyk miał na działce w Kolonii Ochota, jakieś siedem metrów wysokości, u góry stalowej klepsydry wlot na piasek, cement i wodę, u dołu spust na wymieszane tworzywo, które wpuszcza się kranikiem do podstawianych form, no i zaczęło się tworzenie sztuki, węzeł ruszył, dwaj pomocnicy uwijali się z formami, trzeci po chwili wtoczył do sali potężną dmuchawę, która osuszać miała cementowe bloczki, a Fizyk tymczasem otworzył ten drugi, mniejszy sześcian i widzowie ujrzeli dwoje siedzących na wyplatanych krzesłach ludzi: byli nadzy, mężczyzna i kobieta, nic nie mówili, patrząc nieruchomo przed siebie, no i dopiero teraz, gdy pierwsze bloczki były już podsuszone, głęboki, artystyczny zamysł przedsięwzięcia stał się jasny: Fizyk z pomocą robotnika zaczął obudowywać tych dwoje, zaczął stawiać cztery ściany bez drzwi i okien tak, aby zamknąć całkowicie na razie niewidzialną celę, mój Boże, jak to się spodobało, zwłaszcza gdy Fizyk podszedł do publiczności i wręczając chętnym do współpracy kielnie, objaśniał, jak należy kłaść te cementowe bloczki, żeby zachować pion; chętnych, kochany panie Bohumilu, było więcej niż stanowisk pracy, dlatego zmieniali się co kwadrans, więc ściany rosły, węzeł turkotał, huczał i wypluwał wciąż nowy budulec, dmuchawa osuszała przemyślnie zastosowany przez Fizyka szybkościerający cement, no a krytycy sztuki, yuppies i koneserzy z podwiniętymi rękawami koszul, bez marynarek, uwalani wapnem, dosłownie prześcigali się w pracy, nie tylko układając bloczki, ale też nosząc je skwapliwie spod węzła do dmuchawy i od dmuchawy na budowlany plac, a wszystko to rejestrowały kamery największych stacji, wezwane w międzyczasie przez wpływowego krytyka, który odczytał w tym pomyśle i działaniu, bez konsultacji z artystą, trzeba przyznać, symbol Holocaustu, wymurowania przez nieczułe społeczeństwo komory, w której dwoje pierwszych ludzi, Adam i Ewa, umrze w ciemnościach i bez dostępu tlenu; tak więc gdy rzeczywiście zamurowano tych dwoje nagusów na amen, włącznie z sufitem, na sali galerii w Minneapolis było już ponad piętnaście

telewizyjnych stacji, dziesięć radiowych, nie licząc drobiazgu fotoreporterów i pismaków, niektóre zresztą przerywały program, żeby na trzy minuty wejść na żywo i zrelacjonować akcję Fizyka, którą już teraz, na gorąco, uznano za największe wydarzenie artystyczne sezonu, ale Fizyk i tutaj okazał się geniuszem, bo kiedy podbiegali do niego z kamerą, albo mikrofonem, ryczał na całe gardło—kurwa, mówiłem wam, nie teraz, jestem we wnętrzu, w samym środku przestrzeni i upływu czasu, jestem człowiekiem, teraz się nim staję, odpieprzcie się, bo to są moje narodziny, czekajcie aż wypłynę z wód płodowych — no i na takie *dictum* dziennikarze po prostu oszaleli, od superlatyw zagęściło się powietrze, napięcie rosło jak przed burzą, a wtedy Fizyk obmalował ten betonowy bunkier na czarno z pomocą natryskowego pistoletu, po czym powiedział głośno — graffiti to jest gówno, graffiti się skończyło, teraz wy tworzycie megaliteraturę znaku, no i kochany panie Bohumilu, całe to towarzystwo rzuciło się na świeżo wymurowane ściany z pojemnikami sprayu wręczanymi przez Fizyka i jego pomocników, niektórzy wypisywali swoje inicjały, inni hasła w rodzaju — pieprzę stopy procentowe — jeszcze inni odciskali ślad swojej dłoni, niektóre panie, niebaczne obecności kamer lub wręcz przeciwnie, kamer tych doskonale świadome, zdejmowały majtki, pokrywały swoje pośladki farbą i odciskały ślady pup na cementowym sarkofagu, co zdaje się świadczyć, kochany panie Bohumilu, że może oglądały kiedyś film Jiříego Mencla, a kiedy wszystkie cztery ściany były już upstrzone, Fizyk dał znak, wniesiono kilofy i znów z udziałem publiczności zaczęto w murze wyrąbywać dziurę, którą wpływowy krytyk nazwał później bramą do wnętrza światła, zwycięstwem podmiotowości, kluczem do zrozumienia tragedii uciskanych, no i każdy mógł się nad tą wyrwą pochylić, by ujrzeć, jak tamtych dwoje kopuluje ze sobą, przy czym wyjaśnić trzeba, że z głośników lunęła wtedy na całą galerię symfonia deszczowych dźwięków, odgłosy burzy, szum ściekającej do studzienek wody, Adam i Ewa zaś uzupełniali to muzyczne tło w ten sposób, że każde posunięcie, każdy kopulacyjny ruch on komentował głośnym okrzykiem — Kilimandżaro! — ona zaś ciepłym, miękkim altem odpowiadała — mulluwałę! mulluwałę! — co wpływowy krytyk zinterpretował później w swoim wiekopomnym eseju jako transgresję ocalonych ze sfery podświadomej w sferę wyartykułowanego marzenia, czyli emancypację ponad płcią, życiem społecznym i masową śmiercią niesioną przez napalm i bomby atomowe — tak, w Kalifornii znalazłem się na szczycie — ciągnął Fizyk, wtrąbnąwszy sobie w nozdrza nową porcję białego proszku — po dwóch latach nieustannego lotu wznoszącego, gdy moja mobil building art dała mi góry szmalu, byłem jak Bóg, mogłem dosłownie wszystko, cykle piramid, walców, przestrzennych rombów, spodków, lodowców i galaktyk przyrównywano do dzieła Leonarda, choć była w tym przesada, bo Leonardo tworzył praktyczne projekty nie do zrealizowania, a ja realizowałem praktycznie idee uniwersum, ale niech im tam — Fizyk podał spodeczek i szklaną rurkę Buciorowi — więc gdyby nie ten sukinsyn Lee, pijak i degenerat, gdyby nie jego wściekła zazdrość białasa—anglosasa do przybłędy znikąd, gdyby nie jego maniakalna furia, byłbym do dzisiaj siedział pod palmami, albo zasuwał Bulwarem Słońca odkrytym Mercedesem 300, więc powiem jak na spowiedzi, że czarę goryczy tego nieudacznika, który bredził, że to ja zabrałem mu sławę w Minneapolis, czarę goryczy przelał ten mój Mercedes: sportowe coupe z automatyczną skrzynią biegów, skórzaną tapicerką, klimą; kiedy zobaczył mnie, jak sunę alejami, wolno, na luzie, przyczajony, kiedy zrozumiał wreszcie, że wszystkie świny, które mi podkładał, podążając za mną krok w krok po całych Stanach, jak choćby telefony o podłożonej bombie przed każdym moim wernisażem, spełzły na niczym, kiedy zsumował swoją nicość i moje powodzenie i ujrzał, jak już powiedziałem, swojego wroga. Boga numer jeden jadącego tym Mercedesem, no to wstąpiły w niego demony, chłodne demony kalkulacji, i po raz pierwszy w swoim życiu Lee zrobił użytek z własnej głowy i nasłał na mnie federalne psy, które od razu, bez szukania, znalazły w moim wozie pół kilo kolumbijskiej koki, której, tego nie muszę wam tłumaczyć, nigdy na oczy nie widziałem, no ale nawet adwokaci nie mogli nic, byłem bez przedłużonej wizy, byłem już

niczmy, moja szczęśliwa gwiazda, która weszła w Minneapolis, spadała do Pacyfiku i nawet nikt tego specjalnie nie zauważył, mobuart już ich znudził, w kurs wchodził właśnie neofluxus i nawet nie chcę mówić, co to za bękart spłodzony w Nowym Jorku, deportowali mnie, niczego nie żałuję poza tym Mercem, mógłbym go przepisać i mieć tu na początek trochę kasy, ale te dranie, nie dość, że weszły mi na konto, to jeszcze skonfiskowały brykę, paragraf o narzędziu przestępstwa, koniec kropka. — Ciekawe, ile razy będzie to jeszcze opowiadał? — Bucior oddał spodeczek i szklaną rurkę Fizykowi — tyle razy, aż zrozumiecie — odciął się Fizyk — że jeśli macie wrogów, to nie kupujcie Mercedesa — tak — śmiała się panna Ciwle, spoglądając w moją stronę — właśnie to zamierzamy zrobić wszystko to nic — Bucior klepnął Fizyka w plecy — gdybyście go widzieli, jak wrócił z Ameryki, jak stanął wśród pokrzyw na tej samej działce, jak patrzył na porzewiałą betoniare, jak suwał po niej dłonią, czy wy zdajecie sobie sprawę, że w chwilę potem skoczył do mnie i mówi — Bucior, wracamy do korzeni, po ile dzisiaj cement — a ja mu na to, że do tej samej rzeki i tak dalej, nie chciał uwierzyć, że spontaniczna epoka heroicznym manufaktur z hukiem zatrzasnęła za sobą drzwi, niektórym przycinając palce, nie chciał wierzyć, że rzeka z forsą pięć razy zmieniła już koryto, no i omija najbliższą okolicę, w nic zresztą nie chciał wierzyć, popadł w depresję, pił, nie wychodził z nory i tylko ptakom rzucał resztki chleba, no i wtedy, proszę szanownej publiczności, jak karmił te wróble, pliszki, zięby, czyżyki i paszkoty, coś mu się w tej jego łepetynie przestawiło, coś mu tam zaświtało, przypomniał sobie czytana kiedyś historię świętego Franciszka, że niby Boży kaznodzieja szukał natchnienia, karmiąc ptaszki — bzdury — przerwał mu Fizyk, dopijając butelkę heweliusza — on już ma jazdę — zwrócił się do nas z wyjaśnieniem — zaraz wam powie, że widziałem, jak te ptaki zmieniają się w węże i pająki, jakbym miał wizje na pustyni, a to nie było tak — a czym jest twoja buda z chwastami po sufit — wrzasnął Bucior — jeżeli nie pustynią, no, może pustelnią, w takim razie jesteś jeżeli nie męczennikiem, to kaznodzieją — dość — Fizyk przerwał mu ponownie — widzicie, znowu mu się miesza — zaraz — niespodziewanie wtrąciła się panna Ciwle — jeżeli nie przestaniecie krzyczeć, to zamykamy kram — ale, kochany panie Bohumilu, niewiele to pomogło, sąsiedzi mojej instruktorki wspięli się już na taki poziom, że mogli stamtąd sfrunąć jedynie lotnią, choć przyznam, że wcale mi to nie wadziło, zwłaszcza że z poplątanych zdań i sprzecznych racji dialogowych wyłaniał się klarowny obraz ich pionierskiego przedsięwzięcia, na które, jak się zdaje, wpadł pierwszy Fizyk, lecz które bez Buciora byłoby niemożliwe: otóż ni mniej ni więcej Fizyk zainstalował w swojej działkowej szopie komputer z Internetem i kiedy pewnego razu połączył się z wikarym z parafii w Suchej Górcie, ten młody ksiądz wyznał najszczerzej jak potrafi, że jutro ma kazanie, lecz ułożenie czegoś sensownego, co byłoby strawne i zrozumiałe dla parafian, jest dla niego prawdziwą męką, bo ile razy grzmieć może na pijaków i po raz który rozwodzić ma się nad grzechem rozwodników, więc Fizyk zaproponował Buciorowi, który był świetnie wykształconym polonistą, by po chrześcijańsku pomógł człowiekowi i rzucił parę myśli, a Bucior dla zabawy napisał piękną mowę dla wikarego z Suchej Górki *Święty Franciszek bladzi w supermarketach*, no i od tego czasu, kochany Panie Bohumilu, zaczęli swój proceder, sukces był niebywały, niebawem spływało do nich ponad czterdzieści zamówień tygodniowo ze wszystkich stron kraju, więc Fizyk wziął się za logistykę, a Bucior zwolnił się ze szkoły i pisał gotowiec za gotowcem, lecz suma oczekiwań przerosła ich skromne możliwości, popyt przerastał podaż co najmniej czterokrotnie, i tu zabłysnął Bucior geniuszem nie mniejszym od Fizyka: w ich płatnym oknie nie sprzedawano już odtąd gotowców, lecz poszczególne rozwiązania retoryczne, segmenty, które spreparowali wedle najlepszych wzorców, i tak, gdy ksiądz z Radomia był posądzany przez parafian o zbytnią pychę, Bucior wyciągał z pliku topos z tytułem „skromność” i wrzucał mu gotową frazę, coś w stylu Cycerona: „doprawdy, mili moi, jestem ostatnim, który powinien was pouczać, lecz sytuacja zmusza mnie do tego, bym dzisiaj”, i tak dalej, a kiedy proboszcz z Owczarkowa zbierał podpisy przeciwko nowej

konstytucji, w menu Argumentatio po kliknięciu znajdował klasyczny cytat z księdza Skargi, że mianowicie „złe prawo gorsze jest niżli tyran najsroźszy”, co naturalnie pomagało mu dowodzić, że komuniści to była betka, to była kaszka z mleczkiem, przedszkolko wobec obecnej dyktatury żydowsko—liberalnej z Wall Street, a kiedy pewien kanonik poszukiwał czegoś na Darwina, otrzymał trzydziestą trzecią poradę z Erystyki Schopenhauera w postaci frazy, że „może to i słuszne w teorii, wszelako w praktyce jest to jednak fałszywe”, no a do tego, już po tygodniu, doszły teologiczne sprawy i prócz toposów swobodnie można było otrzymać w ich witrynie gotowy cytat z świętego Augustyna, Pascala, Tomasza Akwinaty czy Newmana i po mniej więcej trzech miesiącach sztab zatrudnionych przez Buciora studentów stworzył niepowtarzalną konstrukcję szkieletową, uniwersalny kod kazania, z którego nawet najbardziej chimeryczni księża mogli, z pomocą kilku ścieżek dostępu, zestawień arcydzieł homiletyki w dowolnej opcji: od soborowej ekumenii po twarde beton lefebvrystow. Tak, drogi panie Bohumilu, słuchałem tego wszystkiego rozluźniony, bo panna Ciwle po ułożeniu Jarka wróciła do mnie z gotowym, przypalonym skrętem i podczas gdy Fizyk z Buciosem kłócili się o prałata Jankowskiego, który zażądał przed tygodniem kazania o swoim własnym Mercedesie, z czym mieli kłopot, bo żaden topos ani żadna ścieżka jeszcze z czymś takim nie miała do czynienia, kiedy zastanawiali się, jak ugryźć problem od strony Opatrzności Bożej, czy może raczej od etyki pracy, bo sam wielebny w swym zamówieniu nie raczył tego sprecyzować, chcąc przede wszystkim w swej homilii dać odpór laickim, wiadomo jakim, dziennikarzom, kiedy więc wywrzaskiwali jeden przez drugiego, nie powiem jakie przekleństwa na prałata i jego, najdelikatniej mówiąc, sybarytyzm, czułem, jak wraz z wydmuchiwanym dymkiem odpływa ze mnie zmęczenie całego dnia i wszystkich lat, o których opowiadałem podczas tej nocnej jazdy pannie Ciwle, czułem, jak fantastycznie lekka staje się moja dusza, jak czyste i niewinne są moje pragnienia, nieważkie ciało, lotna myśl i nagle ujrzałem ogród w Mościcach: dziadek Karol czytał w wiklinowym fotelu, jego letnia panama rzucała cień na górną część twarzy, babka Maria ścinała herbaciane róże i cała jej postać, oblana mocnym światłem, odcinała się od kamiennego muru oranżerii jasną plamą — to twoja narzeczona? — zapytał dziadek, odkładając książkę, kiedy podeszliśmy z panną Ciwle do tarasu — instruktorka — odpowiedziałem nieśmiało — uczy mnie jazdy samochodem — tak — potwierdziła babka Maria, nie odrywając się od róż — w jego czasie to zupełnie normalne — no, ale czy skończyłeś politechnikę? — dziadek spojrzał na mnie uważnie — ależ on nie jest pana synem — panna Ciwle była uśmiechnięta — tylko wnukiem — tak, tak — dziadek nie dał jej dokończyć — to zrozumiałe i przepiękne — uniósł się z fotela, podszedł do panny Ciwle, ujął jej dłoń i dyskretnie przyglądał się profilowi twarzy — miałem na myśli pani rysy, niepowtarzalne, pozwoli pani, że udam się na moment po fotoaparat, aby zaproponować portret — jak pięknie do mnie mówił — wyszeptwała panna Ciwle, gdy jego postać zniknęła już w chłodnej strefie domu chyba dobrze, że nigdy nie usłyszy Fizyka czy Buciora, wyciągnąłby pochopne wnioski — nie męczcie go z nadto — babka Maria przeszła obok nas z pękiem uciętych róż — jest wyczerpany swoim własnym czasem, powinien zostać w cieniu — dodała, znikając w przeszklonej oranżerii — czy na pewno — spytała panna Ciwle — on chce mi zrobić portret? Słońce stało w zenicie, rozgrzane powietrze falowało nad spopieliałą zielenią ogrodu, tłocząc słodki zapach kwiatów pod kopuły rajskiej jabłonki i morelowych drzew, a upał, niczym frywolny krawiec, przyoblekł nasze ciała w wilgotne, obcisłe kostiumy, które, choć przezroczyste, miały w sobie nieznośnie krępujący ciężar chitynowych pancerzy, i dlatego staliśmy na tym tarasie w nieruchomym, owadnim letargu całą wieczność, aż wreszcie powoli, przewyciężając opór rozżarzonego powietrza, weszliśmy do domu, w którym panowała zupełna cisza, milczący tragarze zносили z piętra skrzynie i kufry, w pokojach, salonie i bibliotece panował nieopisany chaos rozrzuconych, pozostawionych samym sobie rzeczy — niech pani tylko spojrzysz — podniosłem z podłogi firmową kopertę zakładu pana Chaskiela Bronsteina — tu jest coś w

środku — otworzyłem skrzydełko i wyjąłem szary prostokąt fotograficznego papieru Gevaerta, na którym nie naświetlono żadnego widoku — niech pani przeczyta, to jest charakter pisma mojego dziadka — i panna Ciwle pochylając się nad kartonikiem, przeczytała półgłosem — Zabrali mnie i zawieźli na miejsce, gdzie istoty wyglądały jak płonący ogień, ale gdy zechciały, przybierały wygląd ludzi — a potem odwróciła papier i przeczytała drugie zdanie zapisane przez dziadka Karola — Następnie udałem się na miejsce, w którym nie było nic — ależ pan się upalił — zaśmiała się głośno, dorzucając do ognia kilka szczap — jutro nie będzie żadnej jazdy, a swoją drogą, chciałam usłyszeć, co zrobił pański ojciec, kiedy wrócił z pracy — teraz nie mogę wyjaśnić — z trudem opanowałem język, widząc, jak każdy wypowiedziany przeze mnie wyraz frunie osobno w powietrzu i zaraz rozpada się na litery, których czarne płatki wirują w jezorach ogniska, aż wreszcie rozpływają się w płomieniach — to jest zbyt mocne oddałem skręta — poza tym popełniłem błąd — przecież pokazywałam, jak to należy robić: powoli, delikatnie — panna Ciwle puściła dymka — tymczasem pan jak lokomotywa — ale nie dałem dokończyć mojej instruktorce tej uwagi, kochany panie Bohumilu, i przyznałem się do winy, do tych kilku zerwanych pod jej nieobecność chabaziów, które suszyłem na balkonie w nadziei oświecenia duszy i uwolnienia ciała, a ona, zamiast się gniewać, zamiast mnie ofuknąć, wybuchnęła śmiechem — ależ z pana kursant, ale przyrodnik, otóż ziele — zwinęła w palcach zerwaną łodygę — czerpie swoją siłę z czystości i dziewictwa; to, co tu trzymam w dłoni, to jest egzemplarz męski i kiedy kwitnie, stara się zapylić — zerwała drugą łodygę — o, taką właśnie kité żeńską, ale wówczas cały trud idzie na marne, zapyłona trawa nie ma już żadnej mocy, żadnej magicznej właściwości, dlatego w czas kwitnienia trzeba wyrwać z korzeniami wszystkie te męskie egzemplarze — cisnęła jedną z łodyg w ogień — a wtedy żeńskie koszyczki i łodygi, rosnąc, pęcznieją od esencji — jak poświęcone Bogu zakonnice — palnąłem z głupia frant — żeby pan wiedział — panna Ciwle ściągnęła poważnie brwi — nie ma w tym nic śmiesznego, nadprzyrodzone moce ducha biorą się zawsze z wyrzeczenia, wiedziały to wszystkie święte i czarownice, ale dziś nie można o tym głośno mówić — czy pani oszalała — teraz ja zaśmiałem się głośno — żyjemy w wolnym kraju — wolnym dla kogo? ucięła mocnym głosem — doktora Elefanta? Fizyka? Buciora? A może w jakiś szczególny sposób miał pan mnie na myśli, nieprawdaż, jaka wyzwolona? Coś panu powiem — zaciągnęła się głęboko skrętem — tej pierwszej zimy, kiedy tu zładowałam z Jarkiem, omal nie zwariowałam, nie było pieca, bieżącej wody, kibla, a na dodatek forsy i jakiegokolwiek pracy. No więc tańczyłam w barze „Lida” na rurze, na huśtawce, w kabinie pod prysznicem, lecz miałam układ z szefem: zero kurewstwa. Co wieczór przychodził oglądać mnie Szkaradek, po prostu palił się i pocił, stękał, zapraszał, stawiał drinki i mówił — dla ciebie zrobię wszystko — i tak to trwało tygodniami, aż wreszcie zapytałam — naprawdę wszystko? — Co chcesz — ześlinił się czego zażadasz. — Kiedy mu powiedziałam — dobrze, licencja instruktorska i mały fiat na własność — omal nie zleciał z barowego stołka. Przez miesiąc miałam spokój, ale gdy znowu przyszedł i położył na barze papier instruktorski i kluczyki, to ja omal nie odpadłam z rury. Coś panu jeszcze powiem — rzuciła peta w dogasający ogień — ja nigdy przedtem nie pieprzyłam się z facetem, byłam dziewczcą, o, przepraszam, byłam prawdziwą delikatną panną, jak dawniej się mówiło w dobrym towarzystwie, pewnie w salonie pańskich dziadków również. Milczałem, kochany panie Bohumilu, panna Ciwle tymczasem przysypywała żar ogniska ziemią z grządek i powiedziała jeszcze, że te łodygi, które suszyłem na balkonie, są do niczego: zerwałem je przed czasem, no i na pewno były męskie. Chciałem się żegnać, podziękowałem za kolację, lecz panna Ciwle powiedziała — wykluczone, no gdzie pan teraz pójdzie w takim stanie, pan nigdy więcej nie powinien palić, pan nie ma na to tolerancji jak ja na alkohol — i zaraz wyniosła z szopy hamak, dwa koce i poduszkę — chyba nie boi pan się towarzystwa — spojrzała na żywopłot, za którym milczał stary cmentarz — dziękuję — powiedziałem — pójdę powoli na dół, do taksówki, jutro nie będzie jazdy, więc może umówimy się pojutrze —

i ruszyłem w kierunku furtki, lecz moje stopy odrywały się wolno od ziemi, jakbym zamiast półbutów miał sandały z małą skrzydełkami Hermesa, i pofrunąłem w tym miłym stanie nieważkości kilka metrów do przodu, na bardzo niewielkiej zresztą wysokości, i lądowałem na ziemi, zupełnie jak Armstrong na Księżycu, rozbawiony niczym dziecko tą zmniejszoną grawitacją i zrobiłem następny krok, i znów frunąłem jak poprzednio, śmiejąc się coraz głośniejsze, lecz nagle stało się coś dziwnego, bo ziemia, zamiast przyjąć moje następne lekkie lądowanie, zaczęła uciekać spod moich stóp, zaczęła się oddalać i nagle znalazłem się wysoko ponad drzewami, ponad wzgórzem i ponad ceglany gotykiem hanzeatyckiego miasta i czułem w sobie tę niebywałą lekkość i nicość istnienia, którą mistycy wypracowywać musieli nieraz przez całe życie, i właśnie z tego powodu zawstydzony usiłowałem nadać swemu ciału jakąś wagę, która ściągnęłaby mnie w dół, lecz to nie było łatwe, kochany panie Bohumilu, stan zawieszenia trwał chyba bardzo długo, aż wreszcie usłyszałem okrzyk panny Ciwle, który jak pocisk przeciwlotniczej baterii kapitana Rymwida Ostoi-Kończypolskiego trafił mnie w okolicę serca, i spadałem wreszcie w dół, ale nie jak klapnięty balon SP-ALP Mościce na łąkę pod Bobową, tylko jak zardzewiały Tupolew, któremu spaliły się silniki, i było to straszne uderzenie, po którym podnosiłem się wolno w strugach ociekającej wody, a panna Ciwle, pomagając mi wygrzebać się z balii na deszczówkę, grzmiąca donośnym głosem — jak ktoś nie umie chodzić, to nie powinien brać się za latanie, pan, zdaje się, należy do tych, którym kromka zawsze upada masłem na podłogę, dobrze, że nie zlądował pan w kompoście — cudownie mówiłem, stukając w balię — widzi pani, ta chrzcielnica przywróciła mi współnocie, przyoblekając nowe szaty — wykręcałem nogawki spodni — wziąłem też i nowego ducha, jestem jak nowo narodzony — no, nie wiem — odpowiedziała, kładąc poduszkę na hamaku — muszę iść spać, wstaję za trzy godziny — lecz zanim zniknęła w drzwiach drewnianej szopy, podeszła do mnie, kochany panie Bohumilu, i podała mi pożegnania dłoń, mówiąc — dziękuję — a ja stałem tak przed jej domem zupełnie zaskoczony, bo przecież za co miała mi dziękować, to raczej ja mogłem być jej wdzięczny za odlotowy wieczór z Buciosem i Fizykiem, za przyspieszony kurs współczesnej sztuki, za ten know-how internetowej firmy Prorok, wreszcie za lekcję, jak nie należy palić trawy, kiedy się nigdy wcześniej tego nie robiło; szedłem wzdłuż cmentarnego płotu, myśląc o tym wszystkim i prawdę mówiąc, znowu wkraczałem w dolinę melancholii; nad stoczną i zatoką unosiła się gęsta mgła, gdzieś z portu jęczał nawigacyjny buczonek, bliżej zadzwonił na rozjazdach niewidoczny tramwaj, powietrze lepkie było od nieskończone ciężkich snów, które w ceglanych domach, zaułkach i ogrodach nie mogły się doczekać rozwiązania; pokrzywki, perz, lebiada znów zarastały miasto, którego nigdy nie lubiłem, obce, nikczemne, nieprawdziwe, co roku zapadało się o milimetr głębiej w pałubę własnych mitów, jak gdyby jego egzystencja nie miała w sobie wystarczającej dawki słonecznego blasku, jak gdyby dawny zapach śledzi, smoły, rdzy, sadzy i agaru kładł się nieprzeniknionym całunem na tłusta wodę kanałów, zbutwiałe resztki pomostów, socjalistyczne bloki i nigdy nie odbudowane spichlerze — pan kwaśno dzień zaczynasz — życzliwa z gruntu twarz taksówkarza przypominała wszystkie razem wcielenia Klausego Kinskiego — jak jest życzenie, po drodze możemy zafasować piwko, całodobowy serwis, za Jaruzela, panie, to było unmöglich, a teraz jest möglich, wszystko möglich — zdezelowany Mercedes z generacji skrzydlaków dosłownie rozpadał się na zakręcie Kartuskiej, dorznięty silnik diesla wyrzucał kłęby spalin, zaklekotały drzwi, stuknęły amortyzatory, opadła luźna szyba, w kabinie unosił się gęsty, duszący obłok odświeżacza powietrza, zdaje się, że w miętowej wersji — no, jak nie, to ja na sekundę po fajki skoczę — kierowca wyjawiał swą intencję — pan tu zaczeka pół minutki — zatrzymał samochód przed nocnym sklepem, nieopodal manewrowego placu — zaraz wracam — zgrzytnęły i trzasnęły drzwi — pan tylko nie zasypia — patrzyłem, jak koło śmietnika pod kasztanowcem płonie niewielki ogień, derwisze, menele, wyznawcy świętego Wita, sztajmesi, dykty, żury, ćmągi obojga płci grzały swoje łachmany w migotającym kręgu, obraz co chwila przysłaniała wciąż

gęstniejąca mgła, ich twarze, kochany panie Bohumilu, ich sylwetki, ich wolne i oszczędne ruchy przypominały udńczonych długim marszem powstańców, którzy odskoczywszy na kilka chwil od armii okupanta, szukają złudnego momentu wytchnienia, złudnego, bo świt, jakiego nawet nie spostrzegą, przyniesie im niechybną śmierć, podłą i byle jaką; ruszyliśmy dalej tym strasznym Mercedese, taksówkarz rozwijał swój monolog, a ja poczułem, że moja wieczorna i nocna lekcja jazdy jest jeszcze nieskończona, że musi mieć ciąg dalszy, tak jak ciąg dalszy miała historia stosiedemdziesiątki, ale nie tej skradzionej przez Sowietów, ta była benzynowa, lecz tej, która pojawiła się pewnego wiosennego dnia w siedemdziesiątym drugim roku na rogu Chrzanowskiego w Górnym Wrzeszczu za sprawą mego ojca, ta miała silnik diesla i znacznie większy przebieg, co zresztą w sposób oczywisty musiało znaleźć swe odbicie w epilogu — tylko czy panna Ciwle — zastanawiałem się płacąc taksówkarzowi — zechce powrócić do tematu, zechce zatoczyć kolejną pętlę w naszym samochodowym kursie? — I niech pan sobie wyobrazi, kochany panie Bohumilu, że zechciała, bo kiedy następnego dnia szedłem uliczką Sowińskiego do firmy Corrado — gwarantujemy prawo jazdy po najniższych w mieście cenach — z okna małego fiatka wychyliła się jej kształtna głowa i usłyszałem halo, panie Pawle, jest pan spóźniony kwadrans, czy wy, mężczyźni, zawsze musicie komplikować proste sprawy? — Byłem skonfundowany, bo przecież wtedy, po tej trawce nie umawialiśmy się na konkretną godzinę, dlatego milczałem, zapinając pasy i ustawiając lusterko, ale ona miała naprawdę dobry humor i natychmiast, kiedy tylko ruszyłem, powiedziała — dziś zaliczamy skrzyżowania, najpierw jedziemy na Hucisko i wreszcie chcę usłyszeć, co zrobił pana ojciec, spodziewam się, że miało to jakiś związek z samochodami pańskiego dziadka oczywiście — wjechałem na Kartuską — lecz zanim to opowiem, powinna pani wiedzieć, jakie było tak zwane tło, otóż — zatrzymałem się na światłach przed Urzędem Miejskim — nadzwyczaj szare i ubogie, żyliśmy bardzo skromnie, ojciec był wprawdzie inżynierem, ale nie przynależał do nowoczesnej, awangardowej, zdrowej klasy, przez długie lata zarabiał mniej niż traktorzysta w pegeerze, stoczniowy traser, dojarka czy murarz bez dyplomu, lecz nigdy nie narzekał, nigdy nie miał kwaśnej miny, nawet kiedy przed pierwszym jedliśmy tylko chleb ze smalcem, uśmiechał się i mówił — nie takie rzeczy przeżyliśmy — i nigdy nie pozwalał sobie na wspomnienie starych dobrych czasów, bo zawsze myślał, był nieustannie pewien, że w końcu przyjdą jeszcze lepsze, choć, mówiąc prawdę — staliśmy nadal w korku przed Urzędem Miasta — nigdy nie mogłem dociec źródeł tego szlachetnego optymizmu, który w żadnym wypadku nie mógł pochodzić z doświadczenia, lecz z jakichś głęboko skrytych w duszy mego ojca pokładów naiwnej dobroci, skąd bowiem czerpał wiarę — powoli ruszaliśmy spod najbrzydszego budynku w mieście — że będzie lepiej, skoro było coraz gorzej — może wierzył w Boga — panna Ciwle spojrzała na mnie pytająco — jak ktoś ma to w sobie głęboko, nie na pokaz, no to nawet jak wpierniczają go lwy, uważa, że mimo chwilowych trudności, sprawy idą zasadniczo w dobrym kierunku — no, może coś takiego — zaśmiałem się, hamując na wysokości Targu Rakowego — choć jego wiara w Boga była raczej wywiedziona z ducha fizyki kwantowej niż z wypadków historii, ale jakby nie było — wracałem do tematu — ojciec, który do ekscesów przodującej, awangardowej, zdrowej klasy czuł estetyczną odrazę, na wszystkie ich akcje, wiece, przemarsze i histeryczne wrzaski reagując powściągliwym milczeniem, w jednym tylko przypadku łamał swoje zasady i mówił głośno o przeszłości, a mianowicie gdy szło o samochody — nie podobały mu się syrenki i Wartburgi? — wpadła znów w słowo panna Ciwle — to nie jest właściwe określenie — wyjaśniłem chodziło mianowicie o to, że kiedy mama, brat albo ja mówiliśmy czasem ojcu — ach, jak przyjemnie byłoby pojechać na plażę, choćby i taką syrenką, zamiast tłoczyć się w rozgrzanym tramwaju przez godzinę, jak miło byłoby wracać z Kaszub z koszami pełnymi grzybów, choćby i takim trabantem, nie czekając w strugach deszczu na ostatni, zatłoczony do granic możliwości autobus, który mija przystanek pekaesu nawet nie zwalniając — kiedy więc czasami i nieśmiało mówiliśmy o

tym, że ten i tamten sąsiad czy znajomy w drodze niesłychanych wyrzeczeń kupił wreszcie syrenkę czy wylosował szczęśliwie Wartburga, ojciec odpowiadał, że nie każdy pojazd dwuśladowy napędzany silnikiem zasługuje od razu na miano samochodu, tak samo jak nie każdy, kto przemawia z trybuny, jest automatycznie mężem stanu, i uciął dalszą dyskusję stwierdzeniem, że jeśli będzie kiedykolwiek jeździł autem, to tylko takim, jakim podróżował ze swoim ojcem, no a my mogliśmy tylko jęknąć, bo przecież sama już tylko myśl, samo marzenie, że pojedziemy na sopocką plażę albo nad kaszubskie jeziora Mercedesem, należały do zbioru prorocत्व fantasmagorycznych; mijały lata, na ulicach pojawiły się już polskie fiaty, w delikatesach można było kupić za jednym staniem dwie paczki kawy i puszkę ananasów, nieliczni przywozili z Zachodniego Berlina mocno zużyte volkswageny, niektórzy marynarze śmigali po Świętojańskiej w Gdyni talbotem lub pontiakiem, lecz mój ojciec nie zmienił zdania, i proszę sobie wyobrazić — podjechałem zaledwie pięć metrów i znów staliśmy w korku — to kwietniowe popołudnie, kiedy usłyszeliśmy pod oknami naszego małego mieszkania charakterystyczny klekocik dobrze wyregulowanego diesla, kiedy usłyszeliśmy radosny chór rozwrzeszczanych dzieciaków skandujących za nadjeżdżającym wolno Mercedesem 170 DS — gestapo! gestapo! — tak, to była naprawdę wielka chwila mojego ojca, jego czas zatoczył na naszych oczach niesamowitą pętlę, wysokoprężna stosedemdziesiątka, rocznik powojenny, była niemalże identyczna z tamtą, benzynową, te same co na zdjęciach bufiaste błotniki, ten sam podłużny dziób z chłodnicą i taki sam dupiasty kufer mogły sprawiać wrażenie, że zaraz wysiądzie z niego dziadek Karol, lecz zamiast niego ukazał się mój ojciec i pokiwał nam radośnie dłonią, zapraszając na pierwszą przejażdżkę po ulicach Wrzeszcza; jechaliśmy Chrzanowskiego, potem Polankami, podziwiając rozdzielczą deskę z zegarami Boscha, równomierny tembr silnika, łagodne kołysanie zawieszenia, a ojciec opowiadał, jak trudno mu było znaleźć niektóre brakujące części, jak szukał ich po złomowiskach i starych warsztatach, jak wytaczał na tokarce to, czego już nigdzie nie można było kupić czy wyszukać — bo musi pani wiedzieć wyłączyłem silnik fiatka — że remont tego Mercedesa, którego ojciec kupił po wypadku od znajomego mechanika, trwał dwa lata, a wszystko w konspiracji, no bo liczyć się miała niespodzianka, zaskoczenie — niesamowite — panna Ciwle zapaliła skręta — z pańskiego ojca musiał być romantyk — raczej inżynier — odparłem, włączając silnik, by przejechać dwa metry i znowu stanąć — nic nie sprawiało mu większej przyjemności niż awaria, nieraz na długiej trasie, kiedy jechaliśmy w góry i nic się nie działo, nic się nie psuło, ojciec prowadził w milczeniu, wyraźnie znudzony monotonią, lecz kiedy tylko coś zachrobotало w skrzyni biegów, zapiszczało w hamulcach, stuknęło w dyferencjale, natychmiast z błyskiem w oku snuł rozmaite przypuszczenia, stawiał diagnozy, rozwijał hipotezy, no a kiedy przyjechaliśmy na miejsce, zamiast chodzić z nami na wycieczki, rozkładał swoje narzędzia i grzebał w silniku od rana do wieczora, wybrudzony smarem po łokcie, i był szczęśliwy, kiedy po kilku dniach, gdy trzeba już było wracać do domu, znalazł wreszcie szczelinę w gumowej uszczelce pompki hamulcowej lub ukrecony gwint jakiejś śruby i wtedy zaczynała się prawdziwa walka z czasem i materia, lecz ojciec nigdy jej nie przegrał, naprawa była ukończona zawsze za pięć dwunasta, no i sunęliśmy szosą, wracając do domu, a lekka melancholia, w jaką popadał teraz ojciec z powodu braku jakiegokolwiek następnej awarii, kompensowana była wrażeniem, jakie na kierowcach wywierał kształt i wygląd starego Mercedesa, czasami mrugali nam światłami, czasem kiwali dłonią i nacisnęli klakson, ale największe emocje wzbudzało wyprzedzanie; taki na przykład trabant, albo zaporozec zbliżał się do naszego kufra, no i przez moment jego kierowca jechał w bezpiecznej odległości, dziwiąc się, że zabytek wyciąga nawet dziewięćdziesiąt, zaraz jednak dodawał gazu, włączał migacz, no i zaczynał wyprzedzanie, a wtedy ojciec lekko dociskał gaz i mniej więcej przy stu dziesięciu widzieliśmy za szybą po naszej lewej stronie zdenerwowaną i spoconą twarz właściciela moskwicza czy trabanta, który dosłownie wybałuszał oczy, wysuwał język i wykrzywiał twarz w strasznym grymasie,

no bo na naszym szybkościomierzu było już sto dwadzieścia dwa kilometry na godzinę, a Mercedes nie powiedział jeszcze ostatniego słowa, mrużąc silnikiem i lekko kołysząc swoim zawieszaniem, więc jeśli zostaliśmy w końcu wyprzedzeni, ojciec uśmiechał się do siebie i głaszcząc kierownicę mówił — nie mogę męczyć emeryta — ale bywało też i tak, że trabant albo zaporozec musiał się schować za nasz kufer, gdy z naprzeciwka pędziła ciężarówka, a wtedy jego kierowca po prostu dostawał szału, siedział nam na ogonie, trąbił, mrugał światłami i następny manewr wyprzedzania zaczynał już bez namysłu pod górę, na zakręcie, niebaczny ciągłej linii, no i dwukrotnie skończyło się to groźnie, choć nie tragicznie, otóż za pierwszym razem trabant z kielecką rejestracją wypadł z łuku szosy i rąbnął w stóg siana, za drugim zdarzyło się to samo rumuńskiej dacji z poznańskiego, która wylądowała w stawie, ojciec, rzecz jasna, natychmiast zwalniał i zawracał, żeby nieść po moc, lecz jego zachowanie nie było widocznie zgodne ze współczesną etykietą, skoro kierowca trabanta nawymyślał nam od głupców, chujów i oszustów, kierowca dacji za to, stojąc po łydki w wodzie, wygrażał pięścią i wrzeszczał, że wszyscy ludzie z Gdańska to zbrodniarze: nie dość że tarasują drogi po rządnych ludziom, to jeszcze jeżdżą złomem po hitlerowskich dygnitarzach, więc szkoda, że tak mało zginęło ich w siedem dziesiątym roku — no nie — wykrzyknęła panna Ciwle — i pański ojciec nie dał mu w pysk?! — musiałby wejść do wody wyjaśniłem — a po drugie jak zawsze, kiedy miał do czynienia z tego rodzaju chamstwem, nie wpadał w złość, tylko w melancholię — niech pan wypuści rybki z bagażnika — powiedział wtedy do tego arywisty z poznańskiego — i powiem pani wreszcie ruszyłem na jedyńce — że to było lepsze, niż taplać się z tamtym w błocie, bo kiedy kierowca dacji usłyszał o tych rybkach, po prostu spurpurowiał, zatkało go, z wściekłości kopnął w drzwi swojego samochodu, a potem ruszył w naszą stronę, gwałtownie, biegiem, no ale wyrócił się raz, drugi, widzieliśmy go, jak wychodzi na brzeg stawu umazany po uszy szlamem, ale Mercedes unosił nas już szosą, ojciec zmienił bieg i powiedział do mnie i brata — teraz widzicie, dlaczego nie należy wyprzedzać na zakrętach. — Piękna lekcja — śmiała się panna Ciwle — nie dałabym lepszej, a te naprawy i awarie to zupełnie jak w opowiadaniu Hrabala, zaraz, w którym to było tomie, z tym rozkładaniem silnika — Taka piękna żałoba odpowiedziałem błyskawicznie, kochany panie Bohumilu — za każdym razem Francin poszukiwał pomocnika do trzymania śrubek — właśnie — panna Ciwle spojrzała na mnie uważnie pan też to robił? — nie — jechaliśmy w żółtym tempie wzdłuż niewielkiego skweru, na którym dwa potężne dźwigi usiłowały podnieść sowiecki czołg, pomnik wyzwolicieli miasta — ojciec miał przyjaciela z garażem i warsztatem, ale to było w Gdyni, więc jak musiał rozbierać silnik albo grzebać w podwoziu, je chał do niego na cały dzień i wracał do Wrzeszcza ostatnią kolejką elektryczną, z czasem Mercedes wymagał coraz częstszych napraw, dwu, albo nawet trzydniowych, więc ojciec zabierał ze sobą śpiwór i kanapki i nocował w warsztacie, no i dopiero kiedy wszystko skończył, wracał samochodem do domu, zmęczony, w brudnym kombinezonie, pachnący ropą ale mama nie była już tak radosna jak wówczas, gdy zajechał na nasze podwórko pierwszym razem — jak wyglądają twoje ręce — martwiła się, podając mu kolację — leżysz na cemencie godzinami — ale ojciec był oczywiście optymistą — niedługo skończą się kłopoty — odpowiadał — to tylko kwestia cierpliwości i wyjedziemy znowu w góry — tak — nie dawała za wygraną mama — tylko po to, żebyś znów tydzień spędził z narzędzia mi, mógłbyś dać spokój, jesteś zmęczony, wcale nie musimy mieć samochodu, a zresztą — kładła mu dłoń na głowie — mógł byś go sprzedać do muzeum — może do niemieckiego? — pytał z sarkazmem — na pewno mają taki model i znacznie lepiej utrzymany, bo my, Polaczki, nie mamy zapasowych części, jesteśmy brudni, źli, pijani i leniwi, czy wiesz, ile się tego nasłuchałem przez całą wojnę — już dobrze — odpowiadała mama — zrobisz, co zechcesz. — Tu, drogi panie Bohumilu, musiałem wyjaśnić panie Ciwle, że ojciec przez całą prawie okupację pracował jedenaście godzin dziennie w naprawczym warszta cie samochodów i dzięki temu nie wywieziono go do Rzeszy jako przymusowego robotnika, no bo ten warsztat

świadczył usługi dla firm zaopatrzeniowych i dla armii — zrobisz, co ze chcesz — odpowiadała mama, ale wiedziała doskonale, że ojciec nie zrezygnuje z Mercedesa, bo przecież ten samochód był dla niego czymś więcej niż zwykłym samochodem, a nawet zwykłym Mercedesem, no więc, gdy na godzinę jazdy zaczęło w końcu przypadać z trzydzieści dziewięć godzin warsztatowych — ciągnąłem, dojeżdżając wreszcie do ronda Huciska — mama się obraziła i powiedziała — nie wsiądę więcej do tej landary — i rzeczywiście, nie wsiadła, a ojciec, kiedy któregoś razu nie zadziałał rozrusznik, zatrzasnął drzwiczki, schował kluczyki w kredensie i więcej nie tknął samochodu stojącego pod naszym ogrodowym płotem — no i co było dalej spytała panna Ciwle — nie mogli się dogadać? — nie mogli ciągnąłem — bo każde z nich zastygło we własnym gniewie i każde miało swoją słuszną rację, tymczasem Mercedes niszczał w upale, deszczu, śniegu, mrozie i przez następne dwa lata zarastał jak parostatek w korycie wyschniętej rzeki, pokrzywy, perz, lebiada sięgały niemal dachu, złodzieje wybili szybę i wymontowali rozdzielczą deskę z zegarami Boscha, koty sikały po fotelach, dzieci pourywały lusterka, znaczki i dekle, a reszty dopełniły rdza i wilgoć, aż wreszcie — przepraszam, niech pan zawróci — przerwała panna Ciwle — w tym mieście nie można już normalnie jeździć, w godzinę nie zrobiliśmy kilometra — więc zawracałem, kochany panie Bohumilu, na rondzie Huciska przed gmachem byłych Komisarzy byłej Ligi Narodów byłego Wolnego Miasta Gdańska, ale nie było to wcale takie proste, światła nie działały, ruchem kierowało dwóch młodych policjantów i nie dawali sobie rady z tą rzeką pojazdów, z tym mechanicznym ściekiem napierającym z każdej strony świata, dzwoniły tramwaje, ryczały klaksony ciężarówek, samochody posuwały się jak ślimaki w upalnym powietrzu ostatniego dnia maja, a ja uświadomiłem sobie, że to ostatnia już pętla, jaką zataczam małym fiatem mojej instruktorki — żeby tu było metro — mówiła tymczasem panna Ciwle — lub wydzielony pas tramwajów, no albo chociaż ścieżki rowerowe, czym oni się zajmują — spojrzała w ponurą bryłę Miejskiego Urzędu — naprawdę nie wiem — wróciłem do tematu ale dawniej interesowały ich przynajmniej wraki samochodów, no bo kiedy trzeci rok z rzędu Mercedes stał przy placu, porośnięty dzikim winem, niczym ogromna wałka z pustymi oczodołami po latarniach, do naszych drzwi zapukał urzędnik z Wydziału Estetyki i nakazał, żeby usunąć ten szpetny wrak, jak łaskaw był to ująć, ponieważ jego widok źle wpływa na samopoczucie mieszkańców, i to był koniec — dodałem, zawracając wreszcie z Huciska w Nowe Ogrody — epoki Mercedesa w naszej rodzinie, finał, jak się to mówi, ostateczny, samochód powędrował na złomowisko, gdzie pośród starych lokomotyw, dźwigów, rusztowań, cystern i kolejowych szyn czekał na swoją kolej do gigantycznej prasy, ojciec natomiast schował swoje prawo jazdy i nigdy więcej nie rozmawiał z nikim na temat samochodów — skapitulował — powiedziała panna Ciwle — rozumiem, jak się czuł, ale tych kilka lat musiało być dla niego jak wakacje — owszem — odparłem — nigdy wcześniej ani potem nie widziałem go bardziej szczęśliwym, ożywionym, to były jego dni słoneczne, prawdziwe święto, rekompensata straconych lat i złudzeń, bo musi pani wiedzieć — udało mi się wjechać na środkowy pas — że jednak pierwsze powojenne lata były dla niego bardzo ciężkie, dziadek Karol należał do tak zwanych wrogów ludu i powiedziano mu w fabryce, do której zgłosił się natychmiast po wojnie, że lepiej byłoby dla niego, gdyby w tym Oświęcimiu zginął, bo teraz nie potrzeba burżuazyjnych inżynierów, wsteczna nauka jest w szybkiej likwidacji, a kiedy dziadek Karol zapytał sekretarza, co było burżuazyjnego w jego badaniach i patentach, aresztowano go za prowokację, w ten sposób jego życie zatoczyło niesamowitą pętlę, bo kiedy w końcu wyszedł, nie pozwolono mu osiedlić się w Mościcach, mógł tam odwiedzać babkę Marię tylko trzy razy w miesiącu i za każdym razem ze specjalną przepustką, więc żeby skończyć ten smutny wątek, powiem pani, że mój ojciec, który po wojnie osiadł w Gdańsku i tutaj studiował na politechnice, za każdym razem, kiedy w ankiecie personalnej wypełniał rubrykę „pochodzenie”, bardzo się denerwował i cierpiał na bezsenność, no bo wpisywał „intelligenckie”, co było w dużym

stopniu prawdą, lecz przecież wystarczył drobny donos jakiegoś hunwejbina, by zarzucono mu przemilczanie faktów, a przemilczenie w tamtych czasach to była kiepska sprawa, więc ojciec bardzo się denerwował podczas bezsennych nocy, by nikt nie wytknął mu tego wroga ludu w rodzinie, tego przypadku burżuazyjnego inżyniera w likwidacji no to zupełnie jak z Hrabalem — zaśmiała się panna Ciwle tylko że on był pisarzem w likwidacji, a pański dziadek Karol wykasowanym inżynierem chemii — tak, to ciekawe zestawienie — powiedziałem, zatrzymując małego fiata znowu na wysokości Targu Rakowego — zważywszy niesamowitą ciągłość tego procederu, bo widzi pani, kiedy generał Jaruzelski wytoczył na ulice czołgi, ja byłem młodym, nieopierzonym dziennikarzem — niech zgadnę — panna Ciwle nie dała mi dokończyć — zlikwidowali panu warsztat pracy — dokładnie — śmialiśmy się teraz oboje — i do zawodu nigdy więcej nie wróciłem i w tym momencie, kochany panie Bohumilu, nasza rozmowa została przerwana i nie zdążyłem powiedzieć mojej instruktorce, jak bardzo ta ostatnia likwidacja wpłynęła na całe moje życie, jak wiele zawdzięczałem generałom Baryle, Życie i Oliwie, to przecież dzięki nim miałem maszynę do pisania wyniesioną z gmachu „Solidarności” i dzięki nim, zamiast biegać na prasowe konferencje, przygotowywać biuletyny lub patrzeć, jak Lech Wałęsa ściera w proch Andrzeja Gwiazdę, dzięki tym generałom właśnie, zamiast redagować depesze i teleksy, mogłem napisać swoją pierwszą książkę, której nikt wprawdzie, i na szczęście, nie chciał wydrukować, lecz która do dzisiaj, kochany panie Bohumilu, leży w mojej szufladzie i przypomina mi czasami tamte piękne chwile, tamte nasze pierwsze wielkie wakacje, tamten festiwal wolności, tamto nasze szlachetne zachłyśnięcie się wiatrem od morza, po którym przyszło, nie tak znów prędko, nieuniknione bagno polityki, udręka pospolitych rzeczy, poezja afer, epika kłamstw, festiwal niekzemności, słowem normalne życie z kredytem i debetem, ale nie powiedziałem o tym wszystkim pannie Ciwle, ponieważ na Targu Rakowym, gdzie dwa ogromne dźwigi unosiły właśnie sowiecki czołg T-34, kombatancki Ludowej Armii, Milicji Obywatelskiej, ORMO i pewnie dziesiątków pokrewnych formacji demonstrowali swoje oburzenie, usiłowali nie dopuścić do likwidacji pomnika; machali transparentami: Wdzięczność Wyzwolicielom, Nie fałszujmy historii. Godność i Prawda, wbiegali na gąsienicową platformę, by operatorzy dźwigów nie mogli załadować czołgu, kładli się tam, krzyczeli, śpiewali frontowe refreny, rozpinali jak ekshibicjoniści obozowe pasiaki, policja interweniowała sennie, spokojnie, jak gdyby ci starsi, siwiejący panowie odgrywali happening Żal za Czerwoną Armią i wyglądało to naprawdę śmiesznie, ledwie ściągnięto z platformy kilku korpulentnych staruszków i dano znać dźwigowym, by czynili swoją powinność, na gąsienicowy ciągnik już gramolili się następni, często nieporadnie i ślamazarnie, tymczasem kierowcy w zablokowanych samochodach, jeden po drugim, naciskali klaksony i to był niesamowity komentarz, niesamowity hałas, jak na piłkarskim meczu, choć powiem panu, kochany panie Bohumilu, że trudno było się rozeznać, po czyjej stronie są ci zmotoryzowani kibice, co im się nie podoba lub zachwyca w tym spektaklu, bo przecież wie pan doskonale, że w moim buntowniczym kraju, którego stolicę zrównano z ziemią, podobnie jak w pańskiej ojczyźnie kompromisu, której stolica jest jednym z siedmiu cudów świata, że w obu tych przypadkach i przestrzeniach ogromna większość ludzi nie należała do zawodowej klasy w likwidacji, bo nie jeździła nigdy jak pański ojczym Francin cudownym BM—W, nie zasiadała jak mój dziadek za kierownicą Mercedesa, nie posiadała akcji browaru ani chemicznej fabryki, słowem nie zawsze i niekoniecznie czuła się źle w mitycznym mateczniku rewolucji, na wiecach, masówkach i paradach, i patrząc na tych żalonych weteranów, których zepchnięto wreszcie do narożnika skweru, pomyślałem o tym zdaniu Pascala, w którym mówi o nierówności, że jest ona konieczna i niezbędna, ale gdy tylko zgodzimy się na nią rozumnie wszyscy, natychmiast zaczyna się wyzysk, jakiego świat nie widział, i może właśnie dlatego, kochany panie Bohumilu, ten czołg sowiecki zrównujący wszystkich i wszystko był dla tych dinozaurów nie tyle symbolem ich utraconej władzy, co

znakiem utopii, w którą nadal wierzyli, i może dlatego wiele spośród rozbrzmiewających przy Targu Rakowym klaksonów to były glosy dwuznaczne, niezdecydowane — chyba im odpaliło — skomentowała panna Ciwle — przecież te czołgi spaliły całe nasze miasto — wtedy nie było jeszcze nasze — odpowiedziałem — ale ma pani rację, w Śródmieściu, podobnie jak we Wrzeszczu i w Sopocie, te czołgi hulały jeszcze kilka dni po kapitulacji Niemców, wjeżdżali nimi na podwórka, do sklepów, do kościołów i gdy nie było już czego grabić, dawali ognia odłamkowym, a potem poprawiali zapalającym, bywały też pościgi, o których układano pieśni: tu, nad Kanałem Raduni, porucznik Zubow, gdy ujrzał piękną Gretę, natychmiast zmienił kurs i dodał gazu, więc Greta, nie mając innego wyjścia, wskoczyła do rzeki, no ale to był marzec, roztopy i wysoka woda, więc prąd porwał jej ciało i zniknęła w tych szaroburych odmętach, tymczasem porucznik Zubow, który wjechał czołgiem do kanału, gdy zobaczył, że jego zdobycz przepada, wygnał bojców z wozu, każąc im po pas brodzić w nurcie i szukać dziewczyny, a sam obracał wieżyczką i z tej złości walił na lewo i na prawo pociskami z tego swojego T—34 i w ten sposób runęła fasada hotelu „Vanselow” i kilku sąsiadujących kamienic, a także piękne domy z loggiami na skraju Irrgarten, no a sam czołg porucznika Zubowa, ponieważ nie mógł się wydostać z rzeki, wyciągnięto z Raduni dopiero w czterdziestym szóstym roku i ustawiono właśnie tutaj jako pomnik wdzięczności dla Czerwonej Armii, choć pewnie byłoby inaczej — wreszcie ruszaliśmy z wiaduktu — gdyby Niemcy wygrały w końcu wojnę i znów zajęły Gdańsk, powiedzmy, że na jesieni czterdziestego piątego, wtedy na tym skwerku nie stałby żaden czołg sowiecki, tylko postać pięknej Grety odlana z brązu z napisem — Wybrałam śmierć zamiast hańby, lub coś podobnego w wielkoniemieckim stylu, co roku w marcu orkiestra grałaby tu Wagnera, a dziewczęta ślubowałyby uroczyście, że prędzej zginą w nurtach Raduni jak piękna Greta, niż oddadzą swój germański hymen podludziom, nawet kiedy ci ostatni są chwilowo zwycięzcami — ależ pan ma gadane — śmiała się panna Ciwle — to przecież zupełnie jak Wanda, co nie chciała Niemca — a swoją drogą — dodała, gdy znów mijaliśmy Urząd Miasta — kto sieje wiatr, zbiera burzę — i tak zostaliśmy z tym zdaniem panny Ciwle, kochany panie Bohumilu, ponieważ korek wreszcie się odszpuutował i jechałem teraz szybko w górę Kartuskiej, bo nasza ostatnia lekcja jazdy właśnie dobiegała końca, i jak to w życiu bywa, kiedy oczekujemy jakiejś puenty, kody, jakiejś zamykającej pętli, nic podobnego się nie zdarza, nic takiego nie nadchodzi, staliśmy więc przy biurze firmy Corrado: panna Ciwle oparta o drzwiczki jej fiata i ja tak samo, tyle że naprzeciwko, po drugiej stronie samochodu, poczęstowała mnie ostatnim skrzętem, w którym wyczułem odrobinę trawy zmieszanej ze zwykłym tytoniem — bardzo dziękuję — powiedziałem — to były naprawdę fantastyczne jazdy — niech pan uważa na migacze i niech pan wie, że niektóre polecenia egzaminatora — wypuściła dymek zmierzając celowo do wprowadzenia w błąd, zwłaszcza zakazy skrętu są ich ulubioną pułapką — tak — powiedziałem — będę patrzeć na znaki, a jak zdam ten egzamin, czy mogę odwiedzić pani brata? Jarka? — zdziwiła się — tak — powtórzyłem Jarka, może odnajdę tych kilka starych fotografii, na pewno bardzo by mu się spodobały, wie pani, ja też mam brata, który wprawdzie nie popadł w takie nieszczęście, ale od paru lat jest na wózku, ma stwardnienie rozsiane, no i nie może właściwie wychodzić z domu, bo mieszka w bloku na trzecim piętrze, i to bez windy, więc cieszy się każdymi odwiedzinami — tak powiedziała — oczywiście, niech pan wpada, kiedy chce, myślałam, że w pana życiu, w pana otoczeniu, nie ma takich spraw, trudnych — zawahała się — i niewdzięcznych — a po cóż miałem pani o nich opowiadać — skończyłem skręta — tego ma każdy pod dostatkiem — no to do widzenia — podała mi dłoń i niech pan nie wyprzedza na zakrętach, zwłaszcza gdy jedzie przed pana małym fiatem Mercedes-Benz — i to był, kochany panie Bohumilu, koniec, szedłem ulicą Sowińskiego w dół do przystanku autobusowego, podczas gdy panna Ciwle właśnie usadzała za kierownicą nową kursantkę, jej głośny śmiech rozbrzmiewał mi w uszach jeszcze przez chwilę, kobieta opowiadała o tym, że właśnie przenieśli się tu z Niemiec z

mężem, no i nigdy nie przypuszczała, że prawo jazdy można robić na czymś takim, tam, w Niemczech, nie dopuszczono by czegoś takiego nie tylko do kursów, ale w ogóle do ruchu, huk Kartuskiej zagłuszył wreszcie ten nieprzerwany trył, zobaczyłem jeszcze z przystanku małego fiata panny Ciwle skręcającego w kierunku manewrowego placu, ale nie myślałem już o menelach pod kasztanowcem, rękawie z gumowych słupków ani o instruktorem Szkaradku, byłem zmęczony upałem, korkiem na Hucisku, wspomnieniami, sowieckim czołgiem i tym zatkanym do udręczenia miastem, które zdawało się tracić oddech i resztki swojej podejrzonej urody, i nagle poczułem straszną zazdrość, kochany panie Bohumilu, wobec tych pańskich lekcji jazdy na motocyklu jawa, bo przecież śmigał pan wtedy z instruktorem po najpiękniejszych w świecie miejscach; zacząłem przypominać sobie Kampe, Małą Stranę, Hradczany, Stare Mesto, Josefov i Vinohrady i te wspaniałe ocienione latem ogródki barów i piwiarni, i tę secesję konkurującą z klasycyzmem i barokiem niemal na każdym kroku, a na to nałożyły się natychmiast widoki Lwowa i Wilna, które zabrane przez Sowietów, teraz wracały do Ukraińców i Litwinów jako prawowitych właścicieli i chociaż nie miałem z tego powodu żadnych, nawet najmniejszych patriotycznych fobii, to jednak było mi czegoś żal, bo przecież miasta, które otrzymaliśmy w zamian, były doszczętnie zrujnowane, były spalone tak jak Gdańsk i Wrocław, zgwałcone i sponiewierane, tymczasem Lwów i Wilno, jakkolwiek udręczone sowiecką okupacją, komunistycznym brudem i liszajem, zostały ocalone, ich nową egzystencję przyrównać mogłem do pacjenta, który po przebytych tyfusie odzyskuje siły i dawną urodę, natomiast Gdańsk i Wrocław wymagały amputacji kończyn, przeszczepu serca, wymiany nerek i wątroby, wstawienia sztucznych zębów i jeszcze długotrwałej terapii połamanego kręgosłupa, który złożono wprawdzie po kawałku, lecz który nie mógł gwarantować pełnej radości życia, podobnie jak liczne przeszczepy oparzonej skóry, nie wspominając, przez dyskrecję, o sztucznym oku i protezie palców; wsiałem do autobusu, kochany panie Bohumilu, i jadać na Ujeścisko postanowiłem więcej o tym już nie myśleć, uwolnić się od historii Mercedesa, spalonych miast, wypędzeń, zawodów w likwidacji, chciałem myśleć o pannie Ciwle, jej profilu, spojrzeniu, zapachu włosów^ tembrze głosu i nagle uświadomiłem sobie, że chociaż rozstałem się z nią tak niedawno, to nie pamiętam już koloru jej oczu i zapomniałem, jakich używa perfum, tak, drogi panie Bohumilu, nagle uświadomiłem sobie, że panna Ciwle była przez te tygodnie mojego kursu prawa jazdy jak piękna twarz spotkana w metrze, gdzie w ciągu kilku minut obserwujemy setki osób, zapamiętując jedną, może dwie, no i myślimy sobie wówczas kim jest ta piękna nieznajoma, dałbym tak wiele, żeby choć chwilę z nią porozmawiać, nie, nigdy nie zapomnę jej brwi i delikatnych, migdałowych powiek — no ale kiedy wysiadamy, kiedy pędzimy już ulicą, kiedy wpadamy znowu w wir życia, spotkanie naszych spojrzeń w wagonie metra, przelotne i ukradkowe, staje się już tylko odległą przeszłością, mgnieniem paru sekund, które jak migawka starego fotoaparatu zatrzymało ten niesłychany obraz tylko po to, by złożyć go w pokładach naszej głębokiej, podświadomej pamięci i nieraz to mgnienie powraca niespodziewanie po latach z powodu jakiegoś przypadkowego skojarzenia, dźwięku czy zapachu i wtedy piszemy wiersz albo oddajemy się rozmyślaniom, ale już nie na temat tamtej konkretnej twarzy, której przecież nie możemy dokładnie odtworzyć, lecz na temat czasu i jego przedziwnych mechanizmów, które rządzą naszymi snami i wyobraźnią, i tak było też w tym przypadku, kochany panie Bohumilu, panna Ciwle powróciła do mnie nagle, niespodziewanie, w zupełnie innym czasie i przestrzeni, chociaż za pana sprawą; tak, to był tamten fatalny dzień lutego w dziewięćdziesiątym siódmym roku, kiedy po raz pierwszy i jedyny w swojej historii telewizyjne Wiadomości stanęły na wysokości zadania, nie naśladując CNN lub innych komercyjnych stacji, kiedy się zachowały jak przyzwoita stacja środkowoeuropejskiego kraju, nadając jako pierwszą wiadomość o pana locie z piątego piętra szpitala na Bulovce, o tym pana skoku w otchłań, o pańskiej śmierci, kochany panie Bohumilu: siedzieliśmy wówczas w pubie „U Irlandczyka” z przyjaciółmi, za oknami na

głównej alei Wrzeszcza ómił deszcz ze śniegiem, rozprawialiśmy o tym i owym i nagle ta wiadomość uciszyła wszystkie rozmowy — podczas karmienia gołębi wychylił się przez okno oddziału ortopedii i wypadł na dziedziniec z piątego piętra — to brzmiało jak sentencja i wszyscy zrozumieliśmy, że właśnie i dopiero teraz zamknęła się epoka, wcale nie aksamitną rewolucją, upadkiem berlińskiego muru, zwycięstwem „Solidarności”, „Pustynną Burzą”, ostrzałem Sarajewa, ale tym pana lotem, tą kodą, tą puentą, tą niesłychaną pętlą, którą zatoczył pan całym swoim życiem, tymi książkami, które jak żadne inne pozwalały nam przetrwać najgorsze lata, bo pocieszały nas bezinteresownie, dawały natchnienie i ocierały łzy; natychmiast zamówiliśmy piwo i zwykła biesiada zamieniła się w stypę, w prastary obrzęd przywoływania duchów i stał pomiędzy nami wujaszek Pepi i pański ojczym Francin, i pańska piękna matka, i szalony Vladimir, i pańska Pipsi, i wszystkie wasze koty w Kersku, i wszystkie pana zachwycenia i fantazje, i był pan pomiędzy nami jak sławny cadyk z Bobowej pośród najwierniejszych chasydów: każdy pana wers znaleźliśmy niemal na pamięć, każdy cytat mogliśmy obracać wielokrotnie, smakując jego brzmienie, mądrość, światło, no i tak właśnie się działo, kochany panie Bohumilu, w barze „U Irlandczyka”, kiedy pan czekał już w chłodni na lekarskie świadectwo i na swoją kolejkę do praskiego krematorium; każdy z nas, kolejno, rzucał głośno cytat, a reszta odgadywała, czy jest to zdanie ze *Skarbów świata całego*, czy może z *Pociągów*, albo z *Obsługiwałem angielskiego króla*, lub *Przerw w zabudowie* no i ten, który zgadł pierwszy, otrzymywał nagrodę, wszyscy stawiali mu ekstra kolejkę, lecz jeśli wyskoczył z odpowiedzią błędną, musiał postawić kolejkę wszystkim, pani Agnieszka nieustannie donosiła do naszego stołu kufle guinnessa, żywca i johna bulla, jej taca z napelnionymi kieliszkami beherovki wciąż krążyła pomiędzy barem a naszym rozkrzyczanym kręgiem, a ja pomyślałem sobie, kochany panie Bohumilu, że może to jest najlepsza nagroda dla pisarza, najwspanialsza zapłata, to właśnie, że w nieznanym mu mieście, tysiąc kilometrów na północ od Pragi, przy głównej ulicy, która kiedyś nazywała się Hauptallee, a potem Hindenburga, a potem Adolfa Hitlera, a potem Rokossowskiego, no a teraz nazywała się Grunwaldzką, jacyś faceci w średnim wieku przerzucają się fragmentami jego książek, kłócą się o każdy przecinek i wymyślają sobie od idiotów, gdy któryś z nich popełni kardynalny błąd, myśląc, dajmy na to, *Bambini di Praga z Domem*, w którym nikt nie chce już mieszkać, powiedziałem więc o tym głośno, że chyba byłby pan zadowolony z takiej nagrody, no i rozpętała się prawdziwa burza, bo natychmiast przypomniano, że to pan powinien otrzymać nagrodę Nobla, a nie Jaroslav Seifert, nikt wprawdzie z zebranych nie miał nic przeciwko Jaroslavovi Seifertowi, a nawet więcej, wielu z nas podziwiała jego liryki natchnione praską atmosferą, ale poetów tej klasy co Jaroslav Seifert jest w Czechach, w Europie i na świecie co najmniej kilkudziesięciu, a prozaików takich jak Bohumil Hrabal nie ma poza nim samym ani na lekarstwo, wrzeszczeliśmy jeden przez drugiego, jakby przy stoliku „U Irlandczyka” zasiadał z nami przedstawiciel nobliwej Akademii — no i co wy sobie wyobrażacie, jak można brać pod uwagę, czy kandydat ładnie się zaprezentuje podczas walca ze szwedzką królową, czy będzie gładko przemawiał, czy nie wypije za dużo kieliszków szampana, lub, o zgrozo, nie wyleje tego szampana do wazonu, by zażądać zwykłego pilsnera, jak wy możecie obawiać się kilku na przykład niecenzuralnych słów albo poklepania jego królewskiej mości po połach fraka, ostatecznie kiedy do Pragi przyjechał Bill Clinton, to tylko po to, żeby napić się piwa „U Zlatého Tigra” z Bohumilem Hrabalem, bo amerykański budweiser to są po prostu siki w porównaniu z takim staropramenem, a taki John Irving, choćby napisał dziesięć kolejnych tomów Terapii wodnej i zrobił z tego hollywoodzki serial, to i tak mógłby Bohumilowi Hrabalowi podawać szklanki, co wy sobie wyobrażacie, szwedzkie padalce, że taki Mitterand jechał do Pragi obejrzeć pomnik Jana Husa, czy żeby powiedzieć Bohumilowi Hrabalowi — odkąd pana czytam, nie muszą popijać wody z Vichy — jak mogliście, panowie akademicy, nie zauważyć, że Bohumil Hrabal był najbardziej nowoczesnym, najbardziej awangardowym prozaikiem dwudziestego wieku, a przy tym nie

miał w sobie nic z awangardowych barbarzyńców, z tej przekupnej hołoty, która poza naśladownictwem paru gagów Kabaretu Voltaire z Zurychu nic już nie umie sklecić, otóż Bohumil Hrabal klecił z najmarniej szych ułomków, ze strzępów zdań, z resztek obrazów, tapet, fotografii, dźwięków i zapachów absolutnie niepowtarzalne frazy, zdumiewające konstrukcje, feerie światów i opowieści, a przy tym w tych jego rozedrganych słowach zawsze czaiła się elegancja Mozarta, siłą Beethovena i Chopinowska melancholia, co wy sobie wyobrażacie, niedouczone gamonie, któż tak jak on potrafił, niczym sztukmistrz, podnieść zwykłą rzecz ze śmietnika naszej historii, naszej wspaniałej cywilizacji i niczym Bruno Schulz ze strzępu starej gazety uczynić z niej stronę Księgi, stronę płonąca własnym, a nie odbitym blaskiem? Ale, kochany panie Bohumilu, szwedzcy akademicy ani myśleli nas słuchać, dlatego zażądaliśmy od pani Agnieszki listowego papieru, koperty i pocztowych znaczków i zaczęliśmy pisać list do Sztokholmu, list, w którym domagaliśmy się kategorycznie, by tę nagrodę Nobla przyznano panu przynajmniej pośmiertnie, kochany panie Bohumilu, żeby oprawili ten dyplom w górski kryształ i położyli go na pańskim grobie w Kersku, gdzie na pewno grzać się będą w słońcu wszystkie pańskie koty, tak więc musiałem pełnić rolę sekretarza, co nie było proste, bo wszyscy jeden przez drugiego krzyczeli mi nad uchem — to już napisałeś? A o tym pamiętasz? I napisz jeszcze, że nigdy jako Polacy nie osiągnęliśmy takiej jednomyślności — więc, pochylony nad stołem, zapisywałem wszystkie te postulaty do nobliwej Akademii, ale kątem oka zauważyłem na ekranie telewizora znajomą dobrze twarz, w migawce politycznych wiadomości uśmiechał się do mnie nie kto inny, tylko instruktor Szkaradek, naturalnie teraz nie miał na sobie przepoconej koszulki polo, nie był już instruktorem i prawdopodobnie nie przeklinał, przynajmniej na wizji i na fonii, ze strzępów dobiegających zdań zorientowałem się, że jest wysokim urzędnikiem do spraw przekształceń własnościowych, prywatyzuje na potęgę, co jeszcze pozostało niesprywatyzowane, walczy o nowy kształt fatalnie zacofanej polskiej gospodarki i powiem panu, kochany panie Bohumilu, że ta krótka informacja, która dotarła do mnie w trakcie zapisywania zdań dla szwedzkiej Akademii, wcale mną nie wstrząsnęła, wcale nie zdała mi się dziwną, przeciwnie, stanowiła zwieńczenie dewizy politycznej partii, do której instruktor Szkaradek pragnął mnie zapisać, ale widocznie tego dnia rozsypał się, drogi panie Bohumilu, prawdziwy worek informacji w naszych telewizyjnych Wiadomościach, bo kilka minut potem, kiedy dawałem nasz list do podpisu wszystkim kolegom, a potem zupełnie przypadkowym ludziom, którzy również chcieli mieć swój wkład w przyznanie panu nagrody Nobla, kiedy chodziłem więc po całym pubie z kartką papieru, na której było coraz więcej i więcej podpisów, na ekranie telewizora pojawili się Fyzyk i Bucior z zamazanymi twarzami, bo takie wszak przysługuje prawo oskarżonym, stanąłem pod ekranem naprawdę zdumiony i osłupiały; tak, to byli oni ponad wszelką wątpliwość, najwięksi hakerzy niepodległej Polski, prokurator odczytywał właśnie akt oskarżenia, w którym roilo się od zawiłych paragrafów, ale istota sprawy była jasna: internetowy geniusz Fyzyka oraz proroczy dar Buciora złączone w jedno dały nadspodziewany efekt: nie było takiej firmy, banku, poczty czy wojskowego sztabu, do którego nie potrafiliby się włamać, przemogli bramy Pentagonu, kody Brukseli, szyfry banków i wszędzie byli jak u siebie w domu, wszędzie znaleźli dobry towar, nie, drogi panie Bohumilu, Fyzyk z Buciosem nie podkradali z niczyich kont pieniędzy, oni szukali poufnych informacji i sprzedawali je za wysoką cenę, Bank Szwajcarski mógł u nich nabyć wszystkie szczegóły konkurencyjnych firm Azjatów, Rosjanie najświeższe plany gwiazdnych wojen, Amerykanie plan ulubionej gry Jelcyna, Palestyńczycy dokumenty izraelskiego Mosadu, Mosad adresy arabskich terrorystów, kartel z Medelin listy agentów FBI, Citroen najnowsze opracowania Mercedesa, Mercedes Tbyoty, Toyota Citroena, adwokat zapowiedział, że sprawa jest bez precedensu i skończy się uniewinnieniem, ponieważ żadna z poszkodowanych instytucji nie wniosła formalnego oskarżenia, jedynie skargę na działalność firmy rejestrowanej na Bahama Fyzyk & Buczo Corporation, której właściwość prawna i fiskalna

nie przynależą do polskiej jurysdykcji, choć właściciele to Polacy, słowem, kochany panie Bohumilu, stałem i rozdziawiałem, jak się to mówi, gębę, bo z kaznodziejskiej firmy uczynić coś takiego, z działkowej szopy wypłynąć elektroniczną rzeką na takie oceany, to było przecież nie lada osiągnięcie chłopaków z Kolonii Ochota i nawet jeśli nie wszystko było legalne i dozwolone, to przecież rozslawili moje miasto, nie przymierzając, jak Benia Krzyk Odesse, kamera pokazała dwupokojowe biuro Fizyka i Buciora na najwyższym piętrze nowego wieżowca, a potem omsknęła się na parking, gdzie stały dwa identyczne, srebrzyste Mercedesy, i to był już koniec informacji, siadłem za stołem, oddałem kolegom list do noblowskiej Akademii, czytali go uważnie, lecz ja byłem już poza tym wszystkim, piłem spokojnie beherovkę, a potem piwo, a potem znowu beherovkę i myślałem już tylko o panu, kochany panie Bohumilu, i o panie Ciwle: gdzie mogła teraz być moja instruktorka, która dawała do czytania swojemu bratu pana opowiadania i powieści, czy oglądała telewizję, a może usłyszała o pańskiej śmierci w radio, na pewno się zmartwiła i na pewno tak samo jak ja pomyślała o tej ciemności, w którą pan wkroczył, i która przez całe życie nie była panu obca, która kusiła pana wiele razy, bo przecież kiedy widział pan Franza Kafkę na balkonie pałacu Kinskych, jak patrzy w dół i waha się, czy ma skakać czy nie, jak mówił pan o tym jego przerażeniu, to przecież było to o panu, tak, myślę, że z panną Ciwle rozumieliśmy się bez słowa, wiedziała, jak pana gorzka melancholia, ta ostateczna wiedza o nicości, jest w pana śmiechu, żartach i ironii osnową i tematem, bo przecież nie ucieczką; wiedziała, że te wszystkie kufle piwa, które wypijał pan po barach, i wszystkie opowieści, jakie pan zapisywał, to jest metoda na przetrwanie, odwiecznie syzyfowa praca, odpowiedź na nikczemność, zasypywanie czarnej dziury i pewnie kiedy sięgała po trawę, czuła, że jest w podobnej sytuacji: jeszcze krok i kładka się urywa, i pewnie tak samo jak pan nie wierzyła w Ahura Mazdę, tego budowniczego mostu na drugą stronę, po którym dusze przejść mają do wieczności, i pewnie gdybyśmy teraz o panu rozmawiali — pomyślałem — o tym skoku i locie z piątego piętra szpitala na Bulovce, to pewnie przypomniałbym sobie dwunastą tabliczkę Gilgamesza, na której zapisano lament wywołanego z podziemi ducha Enkindu, te straszne słowa, że jego ciało wypełnione jest płaczem i tak jak starą szmatę toczą go robaki, jak starą szmatę, kochany panie Bohumilu, gdyby Homer znał te słowa, to pewnie lament zjawy Achillesa przed żywym Odysem przybrałby inną, okrutniejszą formę, gdybyśmy choć raz naprawdę ujrzeni to, co Orfeusz, ale nie w śpiewie, hymnie czy religijnym pocieszeniu, tylko w tej jednej chwili najoczywistszej grozy, być może z przerażenia nie moglibyśmy pić herbaty, pisać listu, kochać się, jeść, a nawet umierać, kochany panie Bohumilu, i gdybym teraz siedział z panną Ciwle — pomyślałem — tutaj, „U Irlandczyka”, czy u niej, w działkowej szopie, gdybyśmy we dwoje odprawiali to żałobne nabożeństwo, tę panichidę, te białoruskie dziady, to pewnie zamiast pisać list do szwedzkiej Akademii, zamiast przekrzykiwać się nad wilgotnym od piwa i beherovki blatem, milczelibyśmy, popalając wolno trawę i to byłaby nasza modlitwa za pana, nasze skupione rekolekcje, nasz hołd dla kogoś, kto idąc po tej wąskiej kładce i znając oczywisty finał, uśmiechał się spokojnie, kiwał dłonią i śpiewał nieustanną pochwałę dni słonecznych, jak gdyby nie chcąc zrażać bliźnich do istnienia ani poszukiwań, bo w końcu komuś może uda się odnaleźć to, czego nigdy nie odnalazł Gilgamesz, i dlatego, kochany panie Bohumilu, był pan mądrzejszy od wszystkich współczesnych filozofów, którzy nie wiedzą, jak jest, i wrzeszczą, i rozdierają szaty, pan za to wiedział, lecz zamiast zachowywać się jak oni, zamiast bełkotać o dekonstrukcji czy syntezie, pisał pan te swoje piękne, długie zdania, zawiązywane jak wstążki na świętym drzewie derwiszów, i pewnie o tym wymienilibyśmy tych kilka cichych słów z panną Ciwle, a potem wsiedlibyśmy upaleni do jej małego fiata i z kilkoma pana książkami pojechalibyśmy na plac manewrowy pod kasztanowiec, pod którym każdej nocy płonie ognisko, no i zawieszalibyśmy te pana tomy jako wota na świętym drzewie, a źli, brudni, odrażający, czyli normalni i nieszczęśliwi ludzie patrzyliby na nas jak na dwa anioły, które wolnym ruchem

spływały z nieba i zawiesiły na gałęziach tabliczki z magicznymi sentencjami, i to byłby chyba najwspanialszy sposób uczczenia pańskiej śmierci, kochany panie Bohumilu — pomyślałem, dopijając ostatnią beherovkę — najpiękniejszy finał — więc wstałem od stolika i wyszedłem w tę okropną lutową noc, i szedłem Grunwaldzką, i zakręciłem w Sobótce, gdzie mieszkałem od paru lat, odkąd rozstałem się z Anulą, i wchodziłem po schodach na to wysokie poddasze, by wyciągnąć z szuflady biurka kilka fotografii odnalezionych podczas tej ostatniej przeprowadzki z Ujeściska do Wrzeszcza, i wreszcie, kiedy to uczyniłem, wezwałem taksówkę i kazałem się wieźć na wzgórze, gdzie rozciągały się działki, brodziłem po kostki w wilgotnym, mokrym śniegu, ale zamiast drzew, szop i drewnianych domków zobaczyłem uśpiony plac budowy otoczony płotem z surowych desek, nad którym żółta tablica informowała, że to osiedle będzie się nazywało Olimp, wykopane doły i podmurówki dawały wyobrażenie o przyszłym kształcie domów, których ściany zapewne strzelały w górę z wiosną, nie miałem tutaj czego szukać, poczułem, jak czas znowu zatoczył niesamowitą pętlę, i próbowałem sobie przetłumaczyć to na czeski, żeby pierwsze zdanie listu, który właśnie wtedy postanowiłem napisać, brzmiało dla pana swojsko, i kiedy wróciłem na Sobótkę i siadłem przy stole, rozkładając niewielki plik fotografii z firmowej koperty pana Chaskiela Bronsteina, to pierwsze zdanie potoczyło się samo i już je pan zna — *Milý pane Bohušku, a tak zase život udělal mimořadnou smyčkou* pisałem w absolutnym milczeniu, nie spiesząc się dokądkolwiek.



... Karolku, tylko ciebie jednego kocham na tym świecie... Ślub Marii i Karola we Lwowie



*...dlatego pomyślałem znów o dziadku Karolu, ale tym razem nie jako autamobili—scie, lecz artylerzyście niezwyciężonej cesarska—
królewskiej armii Austro—Węgier...*

Dziadek Karol pierwszy z prawej



...i nie minęły dwa miesiące, gdy w wiosenny ranek na błoni za fabryką rozkwitła wielka barwna kula...



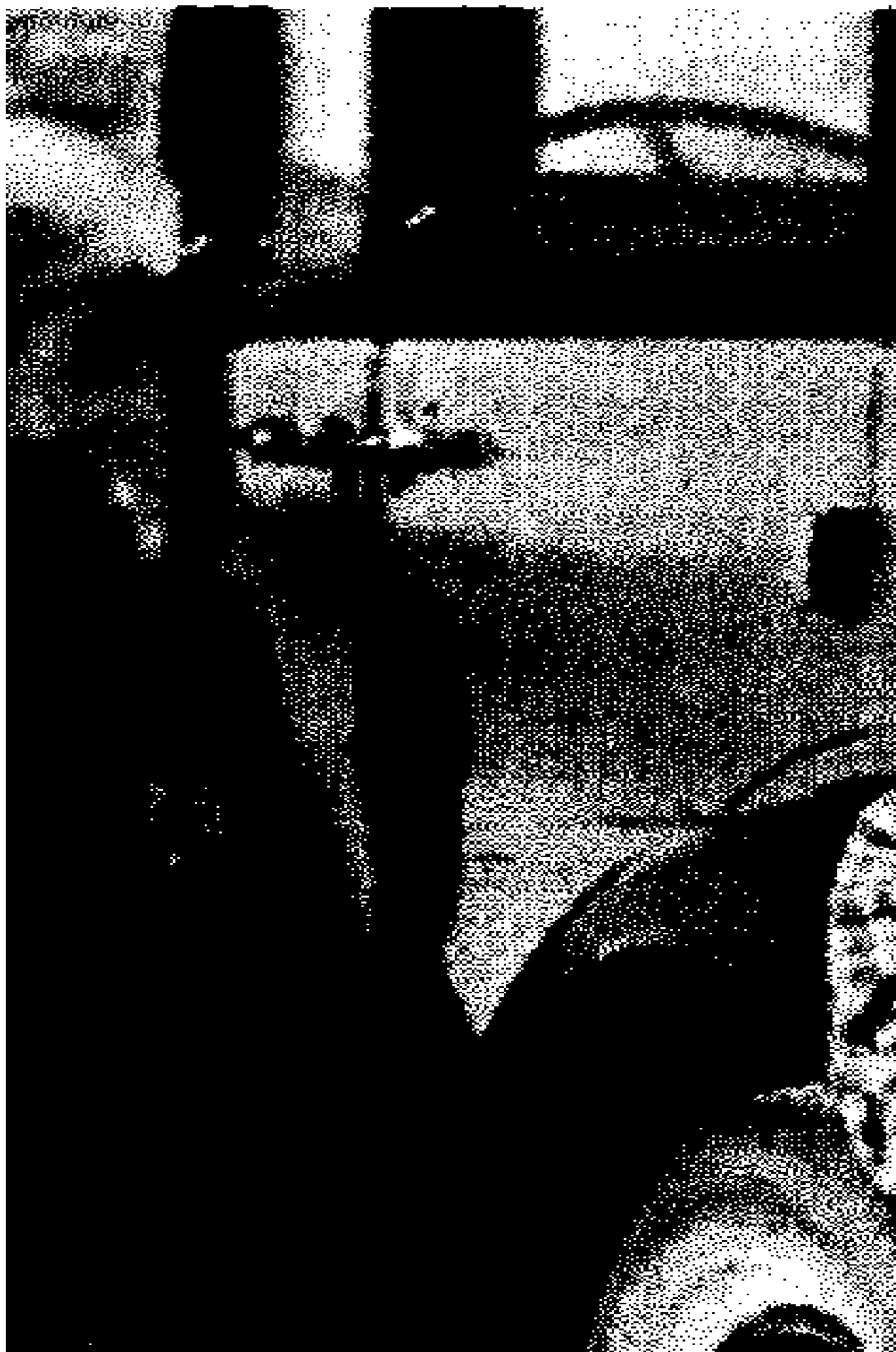
...balon zatrzymał się prawie na samym końcu Jezwra Rożnowskiego (...) i wisiał tak w powietrzu nieruchomy dobre pół godziny, więc zawodnicy powysiadali z samochodów, zaparkowali motocykle, powymowali kosze z prowiantami i zaczęli się regularny piknik...



...dziadek dostał przydział do pociągu pancernego i chociaż siedział sobie wygodnie w stalowej wieżyczce z napisem „Smiaty”, to jednak znowu musiał strzelać i tym razem nie w powietrze... Wnętrze pociągu pancernego, dziadek Karol pierwszy z prawej



... i to było ostatnie zdjęcie, jakie pstryknął w tamtej Polsce, portret rodzinny: po lewej stronie, na samym skraju drogi stała babka Maria, potem dwa baciary, jak ich po lwowsku nazywano, czyli mój stryj i ojciec, no a dziadek, którego przecież nie mogło być w kadrze, dziadek także obecny był na tym zdjęciu w postaci wyraźnego cienia...



...dziadek (...) całymi dniami przeglądał stare fotografie, porządkował swoje archiwum, dopisywał na odwrotach kartoników brakujące daty, imiona osób, nazwy miejsc i czuł, że ten rozwijany na nowo rulon czasu jest już zupełnie czymś innym niż katalogiem zwykłych wspomnień, czuł, że chwile schwyte kiedyś chłodną migawką leiki składają się na zupełnie nową Księgę...

Ojciec Autora przed citroenem

gesso



BRUNNEN

...podniosłem z podłogi firmową kopertę zakładu pana Chaskiela Bronsteina (...)
otworzyłem skrzydełko i wyjąłem szary prostokąt fotograficznego papieru Cevaerta...

